Nr. 10. Lwów, 15. Lutego 1886. Rok I.

STRAŻNICA POLSKA

PISMO
POLITYCZNO-EKONOMICZNO-SPOŁECZNE
wychodzi
dwa razy na miesiąc, każdego 1. i 15.
Pojedynczych Nrów nie sprzedaje się.

PRENUMERATA
na „Strażnicę polską“ wynosi:
Kwartalnie:
We Lwowie: bez przesyłki 1 zł. 50 ct.
„ z przesyłką 1 „ 60 „
Na prowincyi: . . . . 1 „ 70 „
Za granicą: . . . . 2 „ — „

REDAKCYA w Rynku L. 8.
ADMINISTRACYA Rynek L. 9.
Inseraty od wiersza (petit) 5 ct.
Wszelkie należytości przysyłać należy pod adresem
Do Administracyi „Strażnicy polskiej“
na ręce p. **Szczęsnego Bednarskiego,**
Lwów, Rynek l. 9.

Słowo
do urzędowych i nieurzędowych polityków.

Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha.
A. Mickiewicz.

W polityce niema żadnej absolutnej maksymy, powiedział największy mąż stanu, wieku bieżącego — i dodał, że skoro zachodzą okoliczności wyjątkowe, obowiązany jest polityk zmienić swoje zapatrywania. Powiedział to nie mniejszy człowiek, jak Kamil Cavour, i dodał, że zmienić trzeba zapatrywania, wyraźnie zapatrywania, nie przekonania, gdy nakazują stosunki.

W stosunkach bardziej ciężkich i wyjątkowych, jak dzisiejsze, nie znajdowało się jeszcze społeczeństwo polskie. Bez jakiejkolwiek winy, obudzono przeciw niemu fanatyczną nienawiść w Niemczech. Niegodziwości, o które oskarżono żywioł polski przed Europą, gdyby były prawdą, musiałyby we wszystkich krajach obudzić wstręt do żywiołu polskiego. Środki zaś zapowiedziane przeciw temu żywiołowi, uchylają się z pod krytyki z wielu względów, a także i z tego powodu, że same przez się są jaskrawe.

Całkiem naturalnie, że objaw fanatyzmu niczem nieuzasadnionego, wywołać musiał proces reagowania w umysłach polskich.

Proces ten, czyli to przeobrażenie w umysłach i uczuciach, objawia się już oddawna w Poznańskiem, gdzie od dawna nie szczędzono drastycznych środków. Na czem polega i czem się wyraża ten objaw?

Bynajmniej nie w polityce w ścisłem znaczeniu tego słowa, ale w uczuciach, w zboczeniu tych uczuć, w odwracaniu się sporadycznem od duchowego związku z Zachodem, a oglądaniu się na Wschód, ku Rossyi. Dodać zaś trzeba, że wzrok znękanych umysłów nie zwraca się ku urzędowej Rossyi, reprezentowanej w rządzie absolutyzmu, ale ku tym czynnikom jej społeczeństwa, które podniosły myśl zjednoczenia plemion słowiańskich. Jest zaś wielu, którzy wierzą w możność federacyi słowiańskiej z zachowaniem bezwzględnem indywidualizmów narodowych.

Jest to fakt, któryby powinien zmienić nieco zapatrywania polityków urzędowych na znaczenie narodowości polskiej. Jeżeli bowiem fakt ten zmieni zapatrywania całego społeczeństwa polskiego, może być niepożądanym dla wielu, a przynajmniej dla kilku organizmów państwowych w Europie.

Źle jest wprawdzie, gdy cały naród bywa zniewolony do dyplomatyzowania, do polityki w tem znaczeniu, o jakiej była wzmianka na czele; ale jeżeli prądy sprzeczne z przyrodzonemi prawami indywidualizmu narodowego, wstrząsną nim zbyt silnie, wówczas dojrzewa całe społeczeństwo.

Dojrzałość polityczna społeczeństw nie może być tak wielką, jak bywa dojrzałość umysłów wybranych, obdarzonych silną wolą i wielką miłością. Dla tego to, jeżeli zmiana zapatrywań genialnego polityka jest konieczną, by zapewnić zwycięztwo bronionej przezeń sprawie, to zmiana taka w umysłach warstw społecznych jest niebezpieczną.

A jednak konstatować musimy dalej fakta i zmianę tę pokazywać, gdziekolwiek się objawia.

Tu zniewoleni jesteśmy zwrócić się do nieurzędowych, ale trzymających wiele o swoim rozumie politycznym, panów krakowskich, alias Stańczyków i ich pogrobowców.

Według tych panów, należy milczeć o ideałach narodowych, nie budzić i tak gorącego patryotyzmu polskiego, należy go raczej gasić. Czy nie tak? Na to zgadzają się także liberalnemi przezwane dzienniki wiedeńskie i temu przyklaśnie dziś chętnie większość obałamuconego społeczeństwa niemieckiego, cała wielka ojczyzna Droysenów, Syblów i Rankich.

Czy jednak przyklaśnie odwrotnej stronie medalu? Pokaże to przyszłość. Na odwrotnej tej stronie pokażemy panom tylko fakta i dowiedziemy, że to co nazywano mrzonką panslawistyczną, zaczyna być ideałem, zaczyna przybierać ciało, może się nawet i krwią zrumieni.

Tym faktem, są objawy sympatyi wśród znacznej części społeczeństwa polskiego w Królestwie dla idei słowiańskiej. Tym faktem, to po wypędzeniu mrzonki czysto polskiej z umysłów, mrzonka panslawistyczna. Obecnie, już nie kilka dzienników, nie kilku agitatorów z obozu słowiańskiego, ale całe powiaty, intelligencya ich w Królestwie, wygląda chwili pojednania z żywiołem rossyjskim. I tam, jak o tem wiemy dokładnie, kiełkuje myśl federacyi słowiańskiej. „Jeżeli — mówią tam — nie zupełne zbawienie spłynie ztąd na społeczeństwo, to przynajmniej ochrona od powodzi germańskiej, to przynajmniej odwet za krzywdy“.

O tym odwecie, o nadziejach pokładanych w stronnictwie słowianofilskiem w Rossyi, słyszeliśmy już dawniej; obecnie zaś natychmiast po wyrokach pruskich wydalających do 40.000 ludzi, wzmogły się te prądy. Jakby dla zapewnienia tryumfu idei panslawistycznej, tak potępianej przez Niemców, polityka ich dodaje tym razem równocześnie i drugiego bodźca krzewicielom panslawizmu. Główni ich reprezentanci zwracali uwagę w Królestwie od dawna, że papizm i katolicyzm gotowe są zawsze zdradzić narodowość i polskość. Tak się stało w istocie. Rząd niemiecki zrobił ustępstwo na rzecz katolicyzmu, a papież poświęcił za to polskość. Na stolicy byłych prymasów polskich, zasiądzie Niemiec Dinder.

Dla większej części społeczeństwa polskiego, jest to cios dotkliwy. Większość niepolitykująca a przywiązana do Kościoła katolickiego, ubolewa tylko; ale mniejszość groźniejsza, bo zmieniająca zapatrywania, a zatem politykująca, chwyta ten fakt, ażeby ukuć broń przeciw nadziejom z zachodu a zwrócić je ku idei słowiańskiej.

Po znanej światu mowie księcia Bismarcka, otrzymaliśmy z Królestwa Polskiego, z samej Warszawy i z prowincyi kilka listów, które nam malują wrażenie, wywołane owem wyzwaniem.

W jednym z nich czytamy:

„Mowa żelaznego kanclerza sprawiła tu wrażenie głębokie, wstrząsające, ale bynajmniej nie przeraziła. Przeciwnie, wywołała ona reakcyę w kołach dotychczas ospałych i obojętnych, a naszym zwolennikom ugody z Rossyą dała powód do zacierania rąk z radości. Mówią oni dziś otwarcie i śmiało: Przekonajcie się, że naturalnym naszym opiekunem i sprzymierzeńcem nie może być inne państwo, tylko słowiańskie. Widzicie co robi cywilizacya, co robią Niemcy, nieprowokowani wcale. Nie powinniśmy dłużej czekać z wyrazem uczuć pojednawczych dla Rossyi. Rząd jeszcze nas po_

Pamiętnik więźnia stanu

ś. p.

Ks. Wincentego Bukowskiego,

PLEBANA.

10)

(Ciąg dalszy).

Gdy się ks. biskup tak doskonale bawi w Samborze i rozkoszuje, mój proboszcz przemyśliwa nad tem, jakby tu biskupa ująć, aby zniósł dekret administratora i pozwolił odprawiać nabożeństwo w kościółku św. Barbary. Dowiedziawszy się, że ks. biskup ma odwiedzić państwa Jędrzejowiczów, ormiańską rodzinę w Czaplach, pojechał tam i przez panią J. błagał, aby w powrocie do Sambora raczył biskup odwiedzić kościółek. Nie mógł odmówić pani J. ks. biskup i przyrzekł uczynić prośbie ks. plebana. Kontent stary, że uzyskał posłuchanie, wraca i czyni wszelkie przygotowania do przyjęcia. Ja radziłem, aby wyjechać bez chorągwi, bez wszelkich odznak, tylko w komżach i ze święconą wodą przyjąć na drodze i prosić do kościółka; lecz stary pleban kazał wyruszyć całej processyi, poustawiał moździerze, kotły i trąby. Gdy biskup wracał, konie się wystrzału przelękły, oraz huku bębnów i trąb. Tak go to rozgniewało, że nie chciał wstąpić do kościoła, tylko wołał: „To nie parafia, to nie parafia!“ A gdy lud ukląkł i błagał o wstąpienie, ofuknął go krzycząc: — „Co to, bunt!?“ Poczem kazał zaciąć konie i drapnął do Sambora, a pleban wrócił ze spuszczonym nosem do domu. I długo jeszcze, aż do r. 1854 był ten kościół zamknięty dla pobożności ludu, wielce przez tę zazdrość zgorszonego.

Mile i spokojnie upływały mi miesiące w tej parafii, aczkolwiek nie miałem we wsi nikogo, do kogobym uczęszczał i godziny na miłej pogadance przepędzał. Za to siedziałem nad książkami, czytałem, pisałem, a w porę wychodziłem na przechadzkę. Ze starym plebanem nie było co i o czem mówić, nauczyciel ciemny jak tabaka w rogu, a do tego żył w nieprzyjaźni z proboszczem. Jeżeli więc do Sambora nie czyniłem wycieczki, to oddawałem się studyom. W zimie odwiedzałem klasztor ks. Karmelitów w Sąsiadowicach i miałem tam kazanie, za które mi Karmelici dziękowali. Wspaniała to świątynia; lud garnie się z daleka do tego kościoła, a na św. Annę spieszy pół Sambora na odpust.

Zima była tego roku śnieżna, to się też często sankowało do Sambora, lub do sąsiadów.

Gdy zima się jeszcze srożyła po Trzech królach rozpocząłem kolędę staroświeckim zwyczajem, czyli wizytacyę domów. Zwykle dawali Strzałkowianie księdzu kiełbasy i len, co nie małą przynosiło kwotę. Jeżeli się ta kolęda odbywa w celu nauczania pacierza, przestrzegania od złego i zachęcania do dobrego, gdy się katechizmuje, to może być pożyteczną; ale jeżeli się to dzieje dla zbierania darów, schodzi wtenczas na żebraninę i jest ubliżeniem godności kapłańskiej. Przy tych kolędach oświecałem lud o szkodliwości gorzałki i przygotowywałem do ślubu wstrzemięźliwości, które się wówczas rozpowszechniały.

Gdy się tak od wsi do wsi tułam, przybiega chłopak do mnie na drugą wieś i donosi mi, że mój ojciec chory niebezpiecznie. Pospieszam więc natychmiast do Sambora, złowrogiem dręczony przeczuciem i zastaję kochanego ojca walczącego ze śmiercią. Przed kilku dniami zostawiłem ojca zdrowego, a tu taka zmiana. Ojciec był jeszcze w czerstwem zdrowiu i w sile wieku, bo miał dopiero 63 lat. Przed kilku dniami był pogrzeb matki księdza, na który i ja przyjechałem. Ojciec mój mocno się tym pogrzebem zajmował, a nie mając futra, przeziębił się. Ale nie wiele sobie z tego robił, myśląc, że to przejdzie. Gdy wyszedł do miasta, dostał drżączki i wypił gorącego piwa szklankę, a to sprowadziło zapalenie i nie było już ratunku, pomimo lekarza i apteki. Jeszcze mię poznał, ściskał mówiąc złamanym głosem: „Bądź zdrów księże Wincenty, pamiętaj o matce! Myślałem, że dopiero w starości na twoich rękach zamknę powieki, a tu mię Bóg tak wcześnie woła. Wyspowiadawszy się i przyjąwszy Sakramenta, wyzionął ducha dnia 18. Stycznia 1844 r.

Spoczywaj z Bogiem w wiecznej szczęśliwości kochany Ojcze! Snać taka była wola Boga.

Żal po stracie kochanego ojca długo trapił serce moje; według mojej możności sprawiłem mu pogrzeb, do czego mi ks. kanonik i poczciwi mieszczanie, którzy ojca jako najdawniejszego obywatela

dejrzywa, ale w społeczeństwie mamy już wielu przyjaciół, a wkrótce, gdy zamanifestujemy nasze szczere życzenia dla idei słowiańskiej, dla państwa, które musi złamać potęgę germańską, to i rząd innem okiem spojrzy na nas".

Nie przytaczamy dalszej treści listu, bo autor jego snuje zbyt śmiałe plany. Widzimy jednak z treści listu i zapatrywań autora, że należy on do tych, intelligentnych wprawdzie, ale nie zastanawiających się nad tem, do czego dochodzi społeczeństwo, gdy zmiana zapatrywań zaczyna się generalizować

Musimy bowiem powtórzyć, że uważamy za rzecz zgubną, gdy cały naród politykuje. Słabe umysły wiedzie to na bezdroża, wyziębia ich uczucia, a według nas, naród nie powinien się nigdy w uczuciach swych krępować. Raz bowiem wyziębione, przestają być materyałem, z którego genialny polityk może stworzyć siłę.

Pod tym względem, musimy przyznać trafność uwagi Słowackiego. Twierdzi on, że Wallenrodyzm zbiorowy stwarza nie zbawienie, ale zbiorową zdradę idei narodowej.

„Wallenrodyzm —
mówi Słowacki —
„Wprowadza pewien do zdrady metodyzm,
Z jednego, robi zdrajców sto tysięcy".

Czyżbyśmy się znajdowali wobec takiej alternatywy? Zwolennicy ugody ze stronnictwem słowianofilskiem, zapewniają wprawdzie, że nie wymaga się zdrady idei narodowej, bo indywidualność narodowa będzie poszanowaną w federacyi słowiańskiej.

Ale — spytać musimy, czy możliwą jest federacya z zachowaniem indywidualizmów przy rządzie despotycznym? Odpowiadają na to, że rząd rossyjski byle się pozbył nacisku germańskiego na świat słowiański, zachowa absolutną swą wolę tylko w polityce na zewnątrz, a w sprawach wewnętrznych zapewni plemionom jak naj wszechstronniejszą wolność i samorząd.

Pytamy ludzi bezstronnych i myślących, czy takie obietnice nie mogą wywierać uroku na znękane serca, na przerażone umysły? Czy obietnice takie nie uśmiechają się tym wszystkim, którzy głęboko i boleśnie odczuli groźbę wywłaszczenia generalnego rodaków z ziemi ich praojców?

Pytamy dalej, jakkolwiek nie podzielamy przekonań różowych, czy dziwna, gdyby obietnice podobne witano jako deskę zbawienia w Wielkopolsce?

Nie koniec pytań. — Czy półurzędowy świat wiedeński, czy rząd moralny w Krakowie, zastanowiły się nad skutkami takich — jak wyżej odmalowane — prądów. Czy i nadal jeszcze będą nas obowiązywali ci wielcy politycy do tłumienia uczuć narodowych, do wyszydzania mrzonki o Polsce niepodległej, a przyjaznej cywilizacyi zachodniej?

Czy recepta nietolerancyi dla żywiołu polskiego w Austryi, zalecana przez liberałów i bezwyznaniowych maniaków, będzie oddana do apteki dyplomatycznej i administracyjnej wewnętrznej?

O tem rozstrzygać nie możemy, nie wolno nam mówić o tem. To jednak co nam wolno, zrobimy. Wyliczymy i resztę niebezpieczeństw

W drugim liście, z prowincyi w Królestwie Polskiem, pokazano nam ustęp tej treści:

„Niemcy wyzwali naszych rodaków do walki rasowej, wyzwali więc cały świat słowiański. Mówiłem właśnie przed chwilą z jednym Rossyaninem o oskarżeniach, które miotano na nas, a on mi odpowiedział: „Samiście winni, że nie możecie się śmiało zwrócić o obronę do rządu rossyjskiego, bo wy się zawsze wypieracie solidarności ze światem słowiańskim. Ot, podajcie raz szczerze rękę naturalnym przyjaciołom, a świat się zdumiewać będzie naszą potęgą. Nam i wam siły przybędzie. A kto wie, może my wtedy pomyślimy o wywłaszczeniu baronów niemieckich w prowincyach nadbałtyckich".

O szczerej chęci odwetu Rossyanina, nikt zdaje się wątpić nie będzie, komu znane są najświeższe rozporządzenia w prowincyach nadbałtyckich.

Jak widzimy, nie brak pokus żywiołowi polskiemu. Z drugiej zaś strony, kto ma oczy ku widzeniu i odrobinę zdrowego rozsądku, powinien rachować się i z uczuciami podrażnionemi tego żywiołu, a nadto uwzględnić, że psychiczne to usposobienie może i musi być zaraźliwe.

Zadekretować można wiele, można skontrolować czyny, zamiary, mowy publiczne i agitacyę, ale niepodobna skontrolować uczuć. Jest to czynnik bardzo dodatni. Skierowany odpowiednio, gdy mu się zapewni rozwój w kierunku przyrodzonym, na podstawie rozwoju narodowości, stanowi on potęgę w każdem państwie. Natomiast odwracany od drogi naturalnej, szuka manowców. Nadszargane ideały, grożą anarchią uczuć. W takim stanie, umysły chwytają pierwszą lepszą myśl, uznaną za legalną i lgnąc do niej, idealizują ją. Otóż postrzegliśmy, że ideę narodową polską zaczęto od pewnego czasu przedstawiać jako zdrożną. Gdy wobec tego mniej zdrożną, a nawet za zupełnie legalną poczytuje się przyjaźń z resztą plemion słowiańskich, nic zatem dziwnego, że pod tę przyjaźń kryje się uczucie narodowości pokrzywdzonej.

Platonicznej przyjaźni dla plemion pokrewnych, nikt zapewne nie potępi. Ale zwracamy uwagę, że w chwilach żywszego ruchu politycznego, platoniczne to uczucie zwykło się potęgować. Od solidarności plemiennej na polu literackiem i artystycznem, krok tylko do solidarności politycznej. Solidarność ze światem cywilizowanym na niwie artystycznej i literackiej, nie może wieść do takich przeobrażeń, nie może dla tego, że brak jej żywiołu pokrewnego, tkwiącego we krwi, w pierwotnych podaniach o jednym szczepie. Przy odjęciu zaś nadziei indywidualizmom narodowym, solidarność polityczno-plemienna dojrzewa bardzo szybko. Czy się bowiem te plemiona łudzą, czy mają uprawnione nadzieje o zachowaniu swego *ja* w połączeniu, to zawsze mniemają, że bodaj kilka najwybitniejszych cech ich charakteru pozostanie nietkniętych w związku z gałęziami, które urosły z jednolitego pierwotnie pnia.

W formie mniej konkretnej, w słowach, któreby bardziej obrazić mogły uszy polityków urzędowych i półurzędowych, słyszeliśmy już i w Galicyi wyrazy podobnych uczuć, a co ważniejsza, słyszeliśmy je z wielu stron.

I znowu skonstatować musimy, że w tym prądzie tkwi niebezpieczeństwo nie tak wielkie dla owej Polski, pędzonej do obozu panslawistycznego, jak raczej dla Europy.

I skonstatować także musimy, że wielu poczytuje już dziś za swój ideał nie Polskę od morza do morza, ale Polskę, jaką dać może praktyczna polityka solidarności słowiańskiej. W nawiasach tedy dodać możemy, że wcale niepotrzebnie narobiły tak wiele wrzawy niektóre organa prasy wiedeńskiej o niebezpieczeństwie marzeń wracających do roku 1772. Mamy dalej to głębokie przekonanie, że nie wyrządziły tem przysługi sferom oficyalnym. Wierzymy owszem, że byłoby większą zasługą ponowić zapewnienia o wolności rozwoju narodowości polskiej, niezbaczającej z drogi legalnej. Bo zboczenie uczuć obrażonych, skierowanych wypadkami i oszczerstwem w potok pansłowiański, to na pozór platoniczne i legalne uczucie, daleko jednak niebezpieczniejsze dla przyszłych wypadków, niż gorące uczucie idealnej ojczyzny w tych granicach, w których ją oglądały oczy Zygmuntów i Augustów.

Kto nie pojmuje i nie czuje nieszczęścia narodu, powinien przynajmniej okazać rozum i dojrzałość polityczną. Nie dowodzi rozumu, kto nieci fanatyzm polityczny. A jednak echa tego fanatyzmu odezwały się w prasie wiedeńskiej, gdy potężny głos nieprzyjaźni odzywał się nad Spreą. Fanatyzm religijny jest zdrożny i smutny, ale stokroć gorszy jest fanatyzm polityczny.

Popatrzmy do czego doprowadził. Jeżeli już w istocie społeczeństwu niemieckiemu tak było niewygodnie obok sąsiadów polskich na jednej ziemi, jeżeli potrzeba im było, jak radził filozof(!) Hartmann: „ausrotten" ten niewygodny żywioł, to rozum stanu powinien im był doradzić cierpliwość. Jeżeli bowiem chciano skutecznie wytępić, to należało odebrać wszelkie szczeble ratunku. Należało więc czekać, pókiby system absolutny w Rossyi nie wykopał głębszej przepaści pomiędzy społeczeństwem polskiem a rossyjskiem. Tymczasem wydano hasło w chwili, w której w Królestwie kiełkuje w umysłach chęć pojednania z żywiołem rossyjskim W chwili tej, w której wszystkie niemal organa prasy rossyjskiej nazywają Wielkopolan. „Polakami i Słowianami", hasło wytępienia Słowian, wywołało reakcyę, zwrot ku zaznaczonej solidarności słowiańskiej za jakąbądź cenę.

Czy jest polityk, któryby przewidział następstwa tego prądu? Wątpimy. Ale jedno powiedzieć możemy wszystkim obywatelom Germanii, a powiedzieć bez nienawiści, to to, że zawcześnie zażądali terroryzmu na ofiarę zawistnych losów. Zawcześnie, bo ofiara, choć może na własną zgubę, zgubę jednak i cios, który nie wyjdzie od Niemców, ofiara ta dojrzała w niedoli i cierpieniu do najwyższych zagadnień politycznych.

Powiedzieliśmy, że to źle, kiedy naród cały dyplomatyzuje, ale zaprawdę, nie stronnictwo narodowe, nie stronnictwo gorących patryotów wywołało taki stan umysłów.

---

czcili i poważali, dopomogli. Wyległo nietylko całe miasto, ale i okolica ze światłem i chorągwiami cechu. Jedynastu księży towarzyszyło do grobu.

Odtąd wziąłem matkę i dwie sieroty po siostrze pod moją opiekę, która dotąd trwa. Z braci dwóch nie mogło być na pogrzebie, służąc w wojsku.

Uspokoiwszy matkę, pocieszywszy braci, rodzinę, wyjechałem na wieś.

Stary pleban rozpoczął wojnę z nauczycielem, a nie mogąc mu szkodzić, bo ks. dziekan był za nim, radując się, że przeciwnikowi dokucza, sprowadził na profesora ks. scholastyka Hoppego. Ks. scholastyk był w szkole; wprawdzie nic nieumiały dzieci, bo nauczyciel był próżniakiem i zaglądał do szklenicy, ale nic mu nie zrobił, tylko nagroził. Wizyta ta bynajmniej nie zastraszyła nauczyciela, a szczególniej jego żonę od swarów i obelg z krzywą gospodynią. Stary codziennie głowę zagrzewający dokuczał i mnie przez swoje wygadywanie i brudotę. Krzywa gospodyni podżegała go, aż wystąpił ze skargą do konsystorza na mnie, najpracowitszego wikarego, którego lud poważał.

Okropny stan uległości i służalstwa trwał wonczas między plebanem i wikarym; lada nieporozumienie, słuszny opór lub inna niechęć, pobudzała mściwych plebanów, a szczególniej pijaństwu oddanych do wnoszenia skarg na wikaryuszów. Dowodem tego niech będzie skarga ks. Staszkiewicza przeciwko mnie do konsystorza wniesiona. Zwykle najmniejsza błaha skarga pociągała za sobą przeniesienie wikarego na koszt własny w odległe okolice, a co stanowiło ruinę materyalną.

A bywało i tak, że najniewinniejszy prześladowany był całe życie, aż do grobu. Nie jeden wikary, który nie miał dostatecznego hartu ducha, ginął nawet moralnie, który w innych warunkach byłby ozdobą kościoła.

Otóż i mój stary pleban widząc, że jestem lubiany przez lud, który często gęsto zaopatruje mnie różnymi darunkami dla mej matki, że mi dawano na Msze szczególniej do św. Barbary, to wprowadziło krzywą gospodynię w wściekłość, i tak roznamiętniła zazdrość starego plebana, że ten wniósł skargę na mnie do konsystorza. Nie będę powtarzał tych bredni; a pomimo to błaha ta skarga ściągnęła komisyę ks. dziekana i kanonika. Tłumaczyłem się z godnością, odpowiednią księdzu, zbijając oskarzenie punkt za punktem.

Wkrótce przyszła bura dla ks. Proboszcza. a mnie mała przestroga, abym się ile możności zgadzał z ks. Przełożonym. Ale jak to bywa, że głupiec na swojem chce postawić, to też i ks. proboszcz nie przestał dokuczać i szukać kluczek do świeżego wystąpienia, i mówił, że albo on tu proboszczem, albo wikary zostanie. Powodem do nowej kłótni była nieszczęsna wódka.

Od początku roku tego towarzystwo wstrzemięźliwości przez ks. Mateusza Kapucyna, w Irlandyi zaprowadzone, a ztamtąd w Szwajcaryi i w Niemczech, coraz szersze zapuszczało zagony. Już i w Polsce mnóstwo ludu garnęło się do ślubowania Bogu trzeźwości i umiarkowania. Już u nas gorliwsi księża przygotowywali lud, czemu szlachta, księża biskupi i żydzi byli temuprzeciwni, oraz wielu księży propinatorów. Nie będąc gospodarzem parafii, radziłem się ks. proboszcza, co u nas czynić, bo już konsystorz kurendę o zaprowadzeniu wstrzemięźliwości rozesłał po dyecezyi. Stary radził, aby nic nie rozpoczynać, aż w Samborze okażą się owoce ich pracy. Ja zaś byłem tego zdania, aby lud parafialny nakłonić do zupełnego wyrzeczenia się gorzałki, bo lud nasz miękkiego serca i nie utrzyma się przy mierności. Ale ks. proboszcz, który miał dać przykład ludowi, nastawał na to, aby do mierności tylko nawoływać, a jedynie kto chce, do zupełnego wyrzeczenia się gorzałki. I tak się stało. Już do Nowego Roku lud parafialny nie usłyszał innej nauki, tylko o pijaństwie i jego skutkach; niechętnie przystępował do ślubowania. Ogromną miałem pracę, spowiadając ten lud i nakłaniając do wstrzemięźliwości, bo ks. proboszcz psuł wszystko.

Z Nowym Rokiem 1855 przyszła nareszcie uroczysta chwila ślubowania po mszy św. uroczystej z wystawieniem Najśw. Sakramentu, którą odprawiłem, a potem wstępując na ambonę, przygotowałem lud rozrzewniony do ślubowania. Sam prałat, ja i inni surdutowi ślubowaliśmy na mierność, a za nami lud — razem 70 osób. Była to liczba bardzo mała, bo wyspowiadałem do 300 osób. Nieufność we własne siły, niechęć, wstrzymała wielu; ale gdy dosadziłem ludowi do serca na św. Trzech Króli, ślubowało ich 238, i zapisało się w księgi. Nikt się zupełnie od wódki nie wyrzekł i i dla tego to ślubowanie zrobiło fiasco. Nałogowi powrócili nazad do pijaństwa, a na czele ich ks.

Stronnictwo to powiedzieć może raczej o sobie jak Słowacki w grobie Agamemnona:

„I jestem cichy, jak wy o! Atrydzi!“

A jeżli kiedy niekiedy odzywała się fantastycznie lutnia nastrojona, jeżeli z przeszłej chwały dobywało to stronnictwo obrazy świetne, by serca zagrzać, umysły opromienić, otuchy dodać — to czyliż to groziło nielojalnością, czy zbudowało Polskę w dawnych granicach?

Co innego natomiast z ideałem wszechsłowiańskim, co innego, bo we wspomnieniach, manifestacyach, objawach uczuć dla przeszłości, były tylko łzy szlachetne i najczęściej bezsilne, ale za ideałem wszechsłowiańskim stoi potęga, z którą liczyć się musi świat polityczny.

Niechże się liczy i niech czuwa także nad polityką pogrobowców stańczykowskich.

Myśmy spełnili obowiązek wcale nie lekki, bo zaznaczać nadwątlone poczucie własnej siły, własnej narodowości, patrzeć na niewiarę obudzoną klęskami i oszczerstwem — to ciężka praca. Panowie politycy urzędowi i nieurzędowi, mogą spełnić lżejszy obowiązek i wziąć na rozum hasło *Caveant consules!*

Wobec groźnej chwili.

Ciężkie i czarne chmury brzemienne piorunami i grozą, gromadzą się na wschodzie i zachodzie ziem polskich. i gdyby prawa siły fizycznej umożebniły nam chociaż ze szczytów Babiej góry lub Czarnohory spojrzeć, jak z wyspy ochronnej na rozhukane morze, ujrzelibyśmy dwa olbrzymie wrogie nam zastępy, które z dwóch stron ciągną obławę i grożą zniszczeniem plemieniu, które z tej i tamtej strony Wisły osiadło na prastarej ziemi ojców. Te dwie massy brutalnej siły, postanowiły zabić ducha i ciało i imie polskie oddać na zagładę.

Europa, która już wiele doświadczyła — i była świadkiem nie jednego czynu wołającego o pomstę do Boga, zdumiała się jednakowoż wobec faktu dziejowego, który przy końcu dziewiętnastego wieku okrywa hańbę całą ludzkość.

Ale i fakt ten dałby się usprawiedliwić — gdyby szczep polski składający się z milionów, przedstawiał dziki rozbestwiony naród, który zrywając z prawami ludzkości, stałby się plagą innych narodów. Tak jednak nie jest, bo gdy Polska podzieloną została pod trzy zabory i niezgadzała się na tę dolę, a milionami ofiar usiłowała zdobyć na nowo przeszłość, mianowicie w śmiertelnych bojach z Moskwą, to jednak z drugiej strony udowodniła, że tam gdzie jej nie są odmawiane prawa ludzkości, gdzie panujący Monarcha nie jest ojczymem, ani się zręca nad narodem któremu przypadła taka dola że stracił swą samodzielność, że to nie przeszkadza w niczem sercu i szlachetności Monarchy, aby ten odłam szczepu, nad którym panuje, korzystał na równi z innymi, z miłości ojcowskiej i praw, nadanych konstytucyą całej monarchii; — gdzie miłość ojczyzny polskiej, mowa i wyznanie wiary nie są uważane za zbrodnię. tam odłam wielkiego niegdyś narodu polskiego umie się pogodzic z losem i czynami okazywać swą wdzięczność. Nie wyrzeka on się wprawdzie swej wielkiej idei narodowej, pomimo to umie się zespolic z dobrem monarchii, która go osłania swemi skrzydłami opiekuńczemi, Że zaś ta szczerość nasza musi być prawdziwą, wie o tem i wierzy w nią nasz Monarcha i Cesarz, bo jest nam miłującym ojcem, a szczep polski pod panowaniem jego dał już nie jeden dowód, że nie ma ofiary, którejby nie złożył dla swego wielkodusznego Monarchy. W danym zaś razie groźnej potrzeby, Polacy pod berłem Austro-Węgier nie pożałują krwi i mienia ku wspólnej obronie. Jeżeli się zaś toczą w parlamentach walki o prawa kraju, to nie są one bojami z Monarchią czyli Koroną, ale z żywiołami, które w miłości i przywiązaniu muszą jeszcze bardzo długo z nami rywalizować, a niejednokrotnie, jak to obecnie uczynił klub niemiecki w Radzie państwa, dają wiele do myślenia o tem poczuciu łączności narodowej Austro-Węgier.

Jeżeli więc uznajemy i umiemy ocenić opiekę i równouprawnienia naszej narodowości, naszego szczepu polskiego pod berłem Najmiłościwszego Cesarza austryackiego, to jakiż ból musi szarpać dusze nasze i serca, gdy patrzymy, jak tam za tymi dwoma kordonami zaboru rosyjskiego i pruskiego Polak usuwany jest z pod praw, które są przyznane chociażby największemu nędzarzowi innych szczepów. Czy nie jest słusznem, i zrozumiałem wobec praw natury, że wielka rodzina chociaż rozdzielona granicznymi słupami, nie przestaje się miłować i pomagać w ciężkiej doli?

Jakkolwiek w tej chwili większość naszych braci tu w kraju ma głównie zwróconą uwagę na wypowiedziane pośegi przeciw Polakom prze Bismarka, w Poznańskiem, Prusach zachodnich i Szląsku, to gdy przypatrzymy się bliżej, zwracając oczy na Wschód, to tam przedstawia się niemniejsza groza i w niczem nie ustępująca temu, co się dzieje w Prusach z naszymi braćmi. Na tę ofiarę męczeństwa wybraną znowu zostanie nieszczęśliwa siedziba Unitów. Po prostu, aby uprojektowana obława się udała, postanowiono rozdrażnić najdrażliwsze rany, w masach nieszczęsnego ludu, i najohydniejszą prowokacyą zdobyć chociaż pozory prawa do dalszych mordów i tortur. I cóż się dzieje? Na ten cel wybrano klasztor Dominikanów w Lublinie, w którym dotąd pozwolono kończyć dni żywota kilku starcom zakonnikom. Gdy liczny lud zebrał się na odpust do tej bazy bożej, aby się korzyć przed Bogiem wobec krzywd, jakiemi jest dręczony, wpadają czynownicy i wśród modłów wloką kilku starców kapłanów ku większemu oburzeniu wiernego wierze ojców ludu przez kościół; a gdy niewiasty modlące się jękły boleścią na widok tego co się dzieje, czynownik carski, rzuca im najohydniejsze obelgi w oczy, właściwe tylko takiemu bestyalskiemu cynizmowi. A musiały to być obelgi straszne, jeżeli nawet staruszka, babka, stojąca pod kościołem i wyciągająca rękę po jałmużnę miało odwagę zawołać:

— „Narodzie, czy się dasz tak poniewierać i hańbić? !“

A bezbronny lud rzucił się z gołymi rękami na posiepaków carskich, by wyzwolić i ochronić własną piersią starców, kapłanów męczenników.

Zajaśniały piekielną radością oczy tego reżysera mordów starców, kobiet i dzieci, Policmajstra Normandskiego, bo widział że mu się udało piekielne dzieło, aby powtórzyć takie same mordy, jakie ku wiecznej pamięci zapisały się krwią na kartech dziejów na ulicach Warszawy w r. 1861. a następnie w Pratulinie przy fizyladzie Unitów.

— „Ognia“ — krzyknął Normandskij na sprowadzony oddział sałdatów, zwartych w kilku szeregach. Ale nawet taka kohorta niewolników poczuła w duszach swych iskrę bojaźni Boga i strzelać nie chciała, Dopiero kułaki i szable oficerów, chowających się za ostatni szereg, zmusiły i te nieszczęśliwe ofiary do strzelania i mordowania bezbronny ludzi.

Padło rannych i trupem przeszło 90 osób, bo do tych bezbronnych strzelano pół godziny. Nie można się też dziwić że ten nieszczęsny lud porwał za bryły lodu i temi się bronił.

Stało się, co w kuźni szatańskiej uknowano, i dziś nie można się łudzić, aby się na tej zbrodni skończyło, gdyż obława na plemię polskie rozpocznie się i z tej strony na całej linii równolegle do obławy prusko-krzyżackiej. Co Bismark wygłosił w Berlinie, to postanowionem jest i pod zaborem rosyjskim, a tylko w innych formach.

Taki sam zamach jest stwierdzonym na szlacheckie majątki, który się rozpoczął usiłowaniem zniesienia Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Gdy pod zaborem rosyjskim lud nie doszedł do takiej samowiedzy jak w Wielkopolsce, szczuje go się po prostu tajnie do napadów i grabieży na własność większych właścicieli ziemskich. Czy to nie znaczy iść ręka w rękę z socyalizmem i nihilizmem, przeciw któremu tak strasznie carat walczy, a jednak używa tej samej broni? Czy Europa nie widzi, co jej takie praktyki zgotować mogą?

Ale przypatrzmy się jeszcze lepiej, jakich to narzędzi używa carat do tych bohaterskich czynów. Obok policmajstra Normandskiego figurował tam i figuruje na całej linii jeszcze jeden czynownik, a jest nim znany i u nas — nikczemny szpieg, zdrajca własnego narodu, Mirosław Dobrjański, a wierny sojusznik całej szajki płatnych odszczepieńców moskalofilskiej bandy w Galicyi, z którymi Mirosław Dobrjański połączony jest jak siamski brat. Dziś nie jest już nikomu tajnem, że ta banda odszczepieńców i zdrajców, usiłuje przeprowadzić swe dzieło nietylko pod zaborem rosyjskim, ale i w Austryi. Wiadomo jest powszechnie we Lwowie, że otec Naumowicz przybył z Petersburga do Lwowa jakby kurjerem w tej samej chwili gdy się mord prowokacyjny miał rozpocząć w Lublinie pod kierownictwem Mirosława Dobrjańskiego. A musiał bohaterstwo to przedstawić w żywych kolorach, jeżeli w całej bandzie moskalofilów lwowskich powstała największa radość. Czy wymieniane głośno nawet przez samych moskalofilów 800.000 rubli, sprowadzone przez otca Naumowicza dla ratowania wrzekomo Banku ruskiego we Lwowie, nie mają innego przeznaczenia? — Domysł ten opieramy na tem, że w Banku kryłoszańskim we Lwowie dzieją się rzeczy tak sensacyjne, jakie się w żadnych bankach dotychczas nie praktykowały.

Przysłany na głównego dyrektora tego Banku z Rossyi gaspadin Kuśnierski, występujące tam nie jako dyrektor Banku, lecz jako dyktator rewolu-

---

proboszcz, który do tego stopnia był bezczelny, że pijany przyszedł do kościoła, chociaż go tam nie było potrzeba. Oburzyło mię to do tego stopnia, że po nieszporach wszedłszy na plebanię, wyrzucałem duszpasterzowi, że się pokazał w takim stanie ludowi. Nagadał mi impertynencyj; umilkłem i poszedłem do siebie. Odtąd rozbił się ślub wstrzemięźliwości o samego duszpasterza. — Panował zwyczaj szkaradny, zaprowadzony przez plebana w Strzałkowicach, że kumowie przynosili po kwarcie wódki, którą w zakrystyi kościelnej przelewali do butli dla księdza proboszcza. Brzęk szkła, woń alkoholu, odbijająca się o nos kapłana, zniecierpliwiły mię do tego stopnia, iż rzekłem:

— „Od dziś nie noście więcej wódki do kościoła, bo ślub wstrzemięźliwości zabrania tego“.

Nie pomogła przestroga i zakaz, aż zmuszony byłem rozbić taką flaszkę z wódką. Ale dałem sobie bobu; — nie tak byłby się unosił gniewem szanowny proboszcz, gdybym był okna wszystkie powybijał, jak wobec tego atentatu, że śmiałem wódkę, drogi dar Boży wylać i rozbić flaszkę.

— „Pan mi akcydensa psujesz!“ — opadł mię opryskliwie, gdy przyszedłem do metryki chrzest zapisywać.

— „Wódka do akcydensów kościelnych nie należy, a tem bardziej, że lud ślubował wstrzemięźliwość“.

— „Do pana nie należą rządy w kościele, tylko do mnie!“

— „Bezczeszczenie świątyni Pańskiej smrodliwą gorzałką, każdego kapłana oburzyć powinno, a tem bardziej, gdy się już raz zapowiedziało, aby gorzałki do kościoła nie przynoszono“.

— „Pan tego nie zaprowadziłeś i nie masz prawa kasować“.

— „Powtarzam tu uroczyście, że ile razy się wódka w zakrystyi pojawi, tłuc będę, wyrzucając za kościół. — Niech się dzieje co chce. — Padam do nóg!“ — Odszedłem.

Za kilka dni pojawiła się znowu wódka w kościele. Wziąłem w rece i wyrzucając za cmentarz rozbiłem. Ks. probosz tylko sapał, ale nic nie mówił, a potem nakazał przez kościelnego, aby na plebanię odnoszono wódkę przed chrztem i 20 kr. Wtenczas dopiero dawano znać wikaremu, aby szedł chrzcić.

Pewnego dnia na wiosnę, gdy już spoczywałem, przyszli chłopi dosyć późno i prosili, aby ochrzcić dziecię. Zapytani, dlaczego tak późno, odpowiedzieli, że byli na plebanii, ale gospodyni mówiła, że ks. proboszcz już spi i dziecka chrzcić już nie wolno. Chciałem im ochrzcić dziecię z wody, wzywając ich na niedzielę do chrztu. Kumowie z drugiej wsi Dąbrówki, usilnie błagali, aby dziś ochrzcić dziecko, bo to obecnie roboty w polu itp. Musiałem wysłuchać ich prośby; wstałem i idę na plebanię po klucz, bo organisty nie było. Jeszcze nie ukończyłem aktu chrztu św., gdy wszedł do zakrystyi ks. proboszcz strasznie pijany, w szlafroku i pantoflach, usiadł na ławie i sapie; a gdy skończyłem, podniósł lagę, na której się opierał i wrzasnął:

— „Kto panu pozwolił chrzcić po nocach?! — Ludzie struchleli, a ja na to:

— „Ja tu z rozkazu ks. biskupa mam prawo chrzcić i pełnić wszystkie obowiązki kapłańskie. Co ks. proboszcz chcesz odemnie? Ja pełnię mój obowiązek“.

Wyszedłem czemprędzej, a on tam beształ ludzi. Gdy dziad zamknąwszy kościół odniósł klucze na plebanię, przyjąć ich nie chciał, wołając: zanieś je do wikarego, bo on tu już proboszczem!

Łatwo pojąć, co się we mnie działo, gdy lud widząc łamiącego księdza ślub, wstępował w jego ślady, bo złe ma większą ponętę niż dobre. Widząc takie odpadki nałogowych pijaków, kazałem na księdze malarzowi wymalować siedmiu dyabłów, wlewających do gęby pijakom płonącą siarkę, i tam zapisywałem tych, co śluby łamali.

Początkiem do upadku był stary nałogowy pasterz. Wkrótce mało kto dotrzymywał ślubu; upominałem, przestrzegałem, zadawałem zbawienne pokuty, lecz to wszystko już nie skutkowało.

W tym roku była wczesna Wielkanoc; we wtorek wielkanocny w dzień święta Matki Boskiej Zwiastowania, z pracy i wysilenia, a najbardziej z zaziębienia zachorowałem na tyfus i przeleżałem ośm tygodni. Szczęście, że miałem matkę, która mię pielęgnowała, bo byłbym bez opieki za kończył życie. Ksiądz proboszcz o mnie się nie troszczył, a krzywa gospodyni karmiła mię w chorobie kluskami i razowym chlebem. Gdy przyszedłem do siebie, wyrzucałem ks. pro-

cyjny, który posuwa się do takiej odwagi, że jeżeli podczas sesyi tego Banku, któryś z członków żarządu lub Rady nadzorczej śmie zainterpelować dyrekcyę, z powodu jakiejś nieprawidłowości, p. Kuśnierski zrywa się, wpada w furyę i grozi z a s t r z e l e n i e m jak psa niewczesnego interpelanta. Starcie przybiera groźne rozmiary i dopiero inni członkowie zapobiegają przemocą czynnej bójce.

Czy to nie jest dostateczną wskazówką, czem ten bank jest i jakie jego cele?

Tej gospodarki moskalofilów w Galicyi nie można już dzisiaj lekceważyć i wielki czas, aby rząd zbadał, co się tam dzieje i knuje?

Zboczyliśmy na chwilę od szerokiego poglądu na chmury, z których zaczną spadać gromy na braci naszych pod zaborem rosyjskim i pruskim. Rzeczą wiadomą, że duch Polski nie ma dzisiaj sił, aby mógł się bronić zbrojną w żelazo ręką; ale pozostaje nam siła ducha i silnej woli, niesienia pomocy naszym nieszczęśliwym braciom, na jaką nas stać. Tu więc nie można się wahać nad wyborem środków, aby rozpocząć walkę „ząb za ząb, oko za oko“.

Gdy więc o bagnetach i wszelkim orężu nie może być mowy, posiadamy jeszcze jedną broń:

Jak wiadomo, teutonizm nie ma we własnych granicach takich soków żywotnych, aby z nich mógł wyżyć, a tem mniej panoszyć się. Żyje on siłą żywotną innych narodów i szczepów; zresztą posilkowanie się takie jest nawet prawem natury. A że te soki ożywcze czerpie germanizm bardzo wiele i z ziem polskich, na cośmy dotąd za mało zwracali uwagi, to jest obecnie rzeczą słuszną i konieczną, aby bieg tych źródeł i strumieni życiodajnych zwrócić w inne strony.

Mówiąo jaśniej, jest dziś obowiązkiem każdego prawego Polaka, aby zerwał wszelkie stosunki handlowe i przemysłowe, jakie go dotąd wiązały z Niemcami i Prusakami. Nie wierzmy, jeżeli ktoś nam mówi, że taki odwet jest nic nie znaczący. Przeciwnie, każdorocznie wpływają do niemieckich kieszeni od nas miliony, bez których się te obyc nie mogą. Jeżeli więc nasz patryotyzm nie jest czczym frazesem, idźmy braciom naszym z pomocą i oddawajmy za nich pięknem za nadobne, gdy nam odwetu takiego nasze prawa konstytucyjne nie mogą zabronić.

Zwróćmy się z naszemi wszystkiemi potrzebami głównie na obszar monarchii Austro-Węgier, a jeżeli nam te źródła nie będą wystarczać, znajdziemy co potrzeba u Francuzów, Auglików, Szwajcarów, Włochów.

Wiadomo powszechnie, że produkcya niemiecka opiera się głównie na najlichszego rodzaju szwindlu, który im Amerykanie wytknęli w całej nagości jeszcze podczas wystawy światowej w Filadelfii. A faktem jest, że to co się sprowadza do Galicyi, są to po największej części że tak powiemy jednodniowe towary, bez rzeczywistej realnej wartości i bez których nareszcie można się obejść.

Zerwijmy więc w Imię Boże i z nadzieją lepszej przyszłości w sercu, z Niemcami, a nie będzie potrzeba długo czekać, że się przekonają, gdzie ich prowadzi nienawiść nietylko przeciw Polakom, ale innym szczepom słowiańsk!m, i jakie ztąd skutki wyniknąć mogą, gdy nam się wszystkim oczy otworzą, że chociaż nie jesteśmy zbrojni w żelazo, ale mamy w rękach naszych również skuteczny oręż.

Jeżeli się z naszemi potrzebami zwrócimy do ognisk produkcyjnych w Austro-Węgrzech, to jeszcze i to zyskamy, że dyferencye poglądów, jakie jeszcze pomiędzy jedną prowincyą a drugą mogą panować, mogą i muszą być wyrównane ku wspólnemu dobru i bezpieczeństwu.

Wprawdzie dotąd ale tylko sporadycznie, czy jak się mówi na wyrywki odzywają się głosy naszych rękodzielników, przemysłowców i kupców, którzy postanowili wszelkie stosunki zerwać z Niemcami. Są to rzeczywiście echa radosne, ale jeżeli mają osiągnąć cel, muszą się stać ogólne. Do takiego odwetu i karcenia siły brutalnej, wzywamy więc tych wszystkich co się mienią być Polakami i tych, dla których los naszych nieszczęśliwych braci nie jest obojętnym. W tym celu powinna być przeprowadzona organizacya kontroli narodowo-moralnej w całym kraju i we wszystkich warstwach społecznych. Ktoby nie wierzył w skutek takiego odwetu i karności narodowo-moralnej, temu przypominamy dzieje Wielkopolski po r. 1848., gdy zachcianki teutońsko-krzyżackie w Wielkopolsce i Prusach zachodnich taką samą jak obecnie uchwaliły exterminacyę żywiołu polskiego. Wtenczas utworzyła się w Wielkopolsce „Liga polska“, której zawdzięczyć należy, że księstwo Poznańskie i Prusy zachodnie zdołały się po dziśdzień opierać największemu naciskowi wynarodowienia i tępiły się na niej ostrza wszelkiej brutainej siły.

Jeżeli odwet taki zaznaczymy silną wolą i czynami, to jesteśmy przekonani, że ogniska produkcyjne w Austro-Węgrzech i państwach wyżej wskazanych, nietylko nam przyklasną, ale pójdą na rękę, chociażby dla dobrze zrozumianego własnego interesu. Tym tylko sposobem staniemy się silniejszymi w kraju i uratujemy się z toni upadku, ochronimy od biedy i nędzy, jaka nam dziś w oczy zagląda.

Do pracy więc! — Do odwetu! — Do czynu!

Sprawa konfiskat dzienników galicyjskich w Kole polskiem w Wiedniu.

Nareszcie po kilku latach odwoływania się przez różne redakcye nasze do delegatów w Radzie państwa w sprawach nader szkodliwych konfiskat przez c. k. Prokuratoryę państwa znalazł się dzięki Bogu chociaż jeden delegat z odwagą cywilną, że sprawę tę podniósł w Kole polskiem, a jest nim dr. K a r o l L e w a k o w s k i, delegat do Rady państwa ze Lwowa.

P. Lewakowski wskazał na postępowanie organów prawnych w ostatnich latach, które prześcigło nawet system dawniejszych cenzuralnych urządzeń i traktowania prasy polskiej za czasów centralistycznych. Mówca zarzuca brak wszelkiego systemu przy zastósowaniu ustawy prawnej, a brak ten przybrał takie rozmiary, że nawet same władze czują trudne swe położenie.

P. Jasiński uważa, że wydanie instrukcyi prokuratorom ze strony ministra sprawiedliwości byłoby w y w i e r a n i e m p r e s s y i n a s ą d y, a więc sprzeciwiałoby się pojęciu konstytucyi. Zresztą redakcye otrzymują przecież o d s z k o d o w a n i e za nieusprawiedliwione konfiskaty, a więc mówca uważa cały wniosek dra Lewakowskiego, że się nie da przeprowadzić.

Z p. Jasińskim polemizują pp. Madejski, Dzieduszycki Wojciech, Hausner, Chrzanowski, którzy w jaskrawych ale prawdziwych kolorach przedstawili, w jakich warunkach odbywają się konfiskaty dzienników polskich w Galicyi. P. Madejski wyrzekł, że pp. prokuraterowie otrzymują najwyraźniejsze rozkazy ministeryalne w sprawie konfiskat i do takowych stosować się muszą. Popiera te fakta drastycznymi przykładami i dalej mówi, ża praktyka ta nietylko, że podkopuje publicystykę, ale wytwarza także serwilizm i lokajstwo wielu sfer, bo przeszkadza wolnej krytyce panujących nadużyć; cierpią na tem ogromnie interesa kraju, a najlepsze zamiary rządu zostają unicestwione. Mówca stawia poprawkę do wniosku dra Lewakowskiego, aby wybrać komisyę z trzech, która po najrychlejszem zestawieniu wszystkich faktów, udać się ma do p. ministra Prażaka z przedstawieniem. P. Dzieduszycki popiera ten wniosek i podnosi systematyczne szkalowanie Austryi przez prasę rosyjską, zwracając uwagę, że w interesie samej historyi jest, aby prasa polska miała możność odpierania tych napaści.

P. H a u s n e r dowodzi, jak wielką szkodę wyrządzają konstytucyjnemu życiu tego rodzaju konfiskaty, a szczególniej podczas wyborów, gdy nawet plakaty komitetów wyborczych ulegały konfiskatom.

P. C h r z a n o w s k i daje ostrą odprawę p. Jasińskiemu i przemawia za najenergiczniejszą akcyą Koła polskiego.

Wniosek dra Lewakowskiego z poprawką p. Madejskiego przyjęto jednogłośnie i wybrano do komisyi pp. dra Lewakowskiego, Hausnera i Madejskiego.

Znalazło się jednak grono kilku delegatów, którzy głosowali przeciw. Jak prywatnie już doniesiono do Lwowa, na czele tej opozycyi miał się znajdować p. Dawid Abrahamowicz. Postaramy się jednakowoż, aby wymienić wszystkie nazwiska. Słusznie mówi zresztą *Kurjer lwowski*, że p. Jasiński siedząc prawie nieustannie w Wiedniu, stracił już zupełnie wątek, co się dzieje w kraju.

Otóż chąc mu dać jakie takie wyobrażenie, w jakich warunkach się u nas konfiskaty odbywają, podamy niektóre fakta, oparte na własnem doświadczeniu.

Prawdą jest, że dziennikarz rozgorączkowany czasami, napisze coś takiego, czego prokuratorya rzeczywiście przepuścić nie może. Ale w takich wypadkach redakcya odnośnego pisma kładzie uszy po sobie i w milczeniu znosi cios. Tak się działo, tak się dzieje, tak się dziac będzie zawsze. Inaczej jednak rzecz wygląda, jeżeli konfiskata spada jak piorun z jasnego nieba za treść artykułu w pewnym kierunku, których redakcya może daleko drażliwszych, cały szereg umieściła, a c. k. Prokuratorya państwa nie dopatrzyła się w nich nic zdrożnego. Taki fakt miał miejsce w redakcyi *Strażnicy polskiej*, która przez rok blisko umieszczała w fejletonie rozprawę dziejową pod

---

boszczowi jego nieczułość i niedbałość, ale szkoda było słów dla takiego zbydlęconego kapłana.

Nie był on jednakowoż unikatem, gdyż w najbliższej okolicy było więcej takich proboszczów; mianowicie słynął pleban w Wojutyczach ze skąpstwa, zdzierstwa i niemoralności. Zbił on wielki majątek, ale male parta, jak to mówią, idą do czarta; to też gdy wyposażył córkę swojej gospodyni, kupując jej oberzę w Samborze za 30.000 fl., nie tylko wszystko poszło w niwecz, ale i ona ze swym mężem, gdy huzarzy oberzę spalili, straciła życie w płomieniach. Nie mogę tu pominąć zabawnej historyjki, w dzień otwarcia tej oberzy. Było to w dzień targowy. Do Sambora zjechało mnóstwo księcy łacińskich i ruskich, bo rozgłoszono, że ks. Kazio — tak go nazywano — przyjmować tego dnia będzie darmo wszystkich księży w nowej oberży. Księża znając skąpstwo Kazia, postanowili dać mu się dobrze we znaki. Zasiadłszy w znacznej liczbie za stołami, jedli i pili co się tylko zmieściło, a Kazio aż stękał i bladł, patrząc na to tatarskie zniszczenie. I chociaż w duszy przeklinał żarłoków i pijaków, którzy się na niego uwzięli, nie śmiał jednak nic mówić, bo przecież sam ogłosił, że ich darmo przyjmować będzie. Podczas obiadu przyniósł pocztylion pudło zapieczętowane, a zaadresowane do ks. Kazia, który ciekawie takowe otworzył, chcąc się przekonać, jaki to prezent ktoś mu anonime przysyła. Otworzył, ale jeszcze spieszniej zamknęł. Lecz drugi ksiądz, który obok niego siedział, był wtajemniczony w sprawę i wyrwawszy pudło, zaczął wydobywać prezenta na jaw, które przedstawiały całe ówczesne ubranie i przybory kelnera w oberzy, jakoto: mycka, fartuch itp. Jaki śmiech ztąd powstał, można sobie wyobrazić, a Kazio aż się pienił ze złości.

Latem zmarł ks. biskup, administracyę otrzymał ks. Tomiczek, kolega mego proboszcza i podobny doń kubek w kubek z charakteru i nałogu. Wkrótce też wyrobił moje przeniesienie o 16 mil do Jasienicy, w najgorsze miejsce, i podróż tę musiałem odbyć o własnym koszcie, oderwany od biednej matki. Takie to bywają księże sądy, lecz cóż robić.

Z bolem serca pożegnałem matkę w łzach się rozpływającą, a nie mogłem jej wziąć z sobą, bo miejsce niegodziwe. Gdy odjeżdżałem, lud w głos płakał, żegnał mię i błogosławił. Proboszcz się schował, aby się niepożegnać. Taka to była jego nagroda za trzechletnią moją pracę.

Cztery dni trwało to moje przeniesienie wśród nieustającej słoty do miasteczka Jasienicy, i podróż ta była tak okropną, jakby zła wróżba przyszłych nieszczęść moich, prowadziła mię w to nowe miejsce.

Zmokły, przeziębnięty, dobiłem się po srogich kamieniach i kałużach. Plebania i kościół stały na wzgórku. Z ciężką biedą tam się dostałem. Kościół wielki, drewniany, w dobrym stanie, ale plebania podupadła, budowano nową. Niżej stała wikaryówka, razem ze szkółką bez płota i ogrodzenia. Ks. Gruszczyński był tu od kilku lat proboszczem; słusznego wzrostu i rubaszny, przyjął mię zimno i odprawił na wikaryę. Ale pożal się Boże! W chlewie byłoby przyjemniej; pełno błota i nieczystości. Kaczki i kury tu chowano, ciekło z powały i po ścianach. Wróciłem więc i powiedziałem plebanowi, że tam niepodobna nocować. Rad nie rad, musiał zezwolić na dwa czy trzy noclegi na plebanii, póki wikaryatu nie wymyto, nie pobielono i wylepiono. Musiałem się starać o zdobycie gdzieś łóżka, stołu i stołka, bo i tego pleban dać nie chciał, aczkolwiek miał tego dosyć. Sam kontent z siebie, z brzuszkiem wystającym, baraszkował, powtarzał różne anegdotki i kpił ze świata. Na oko słodki, ale wewnątrz pełen jadu, brudoty, kłamstwa, a z gruntu duszy i serca zepsuty.

Najwstrętniejsze orgie uchodziły mu przez 26 lat płazem, aż w końcu trafiła kosa na kamień, odebrano mu beneficyum po najszkaradniejszej w świecie komisyi. Przy protokołach wychodziły na jaw najohydniejsze rzeczy, wykryto bezeceństwa zgrozą przejmujące. Innego śmiertelnika czekałby niezawodnie kryminał, lecz on miał po cyrkułach wielkie zasługi i skończyło się na usunięciu z probostwa.

Bez czci i wiary, nie kochał Ojczyzny, psy wieszał na Polakach, szpiegował, rewidował wikaryę, okryty powszechną pogardą, miał tylko fawor u Niemców i zepsutych chłopów. W czynach bez uwagi na stan kapłański, dopuszczał się najsprośniejszych awantur, i tak: na drodze publicznej okładał kijem nauczyciela, że ten nie uchylił przed nim czapki. Nauczyciel odwzajemnił natychmiast tę zniewagę, aż się w rowie tłumili; że zaś ks. Gruszczyński był silniejszy, sponiewierał nauczy-

tytułem „Garstka“. Wspomnienie to obejmowało okres od pierwszego rozbioru Polski aż do najnowszych czasów, i wskazywało na postępowanie Rosyi przeciw Polsce. Rozprawa ta byta często ciepłą, bardzo ciepłą i wyraźnie pisaną, a przecież nie było ani jednej konfiskaty, aż raptem nastąpiło aż trzy jedna po drugiej i to za daleko bledsze ustępy. Redakcya wniosła o objektywne postępowanie; trybunał nie przychylił się do pierwotnego zatwierdzenia Sądu i wniosku Prokuratoryi, lecz gdy p. prokurator obstawał przy swym wniosku, sprawa poszła do apelacyi — i tam nastąpiło zatwierdzenie konfiskat, które spowodowało, że wspomnienia tego dziejowego pod żadnym warunkiem nie można było dalej drukować, chociaż ono ani jednem słowem nie zgrzeszyło przeciw lojalności monarchii lub koronie austro-węgierskiej.

Moglibyśmy przytoczyć w oryginale wyroki, że Sąd krajowy nie przychylił się już w pierwszej instancyi do wniosku p. prokuratora, jako zupełnie bezpodstawnego, lecz p. prokurator odwołał się do apelacyi i ztamtąd niezawodnie zatwierdzono wyrok konfiskaty.

Faktem jest, że we Lwowie w kronice konfiskat są tylko pojedyncze i nader rzadkie wypadki, że apelacya nie zatwierdza konfiskat, a więc redakcya ma prawo żądać odszkodowania. Ale o tych to właśnie odszkodowaniach lepiej zamilczeć.

Co szczególniej rozdraźnia nerwy redaktorskie, to konfiskaty, dokonywane za przedruki z dzienników i pism krakowskich lub prowincyonalnych, które w tych pismach były kilka dni przedtem zamieszczone. Z początku były to tylko nadzwyczajne niespodzianki, lecz później stały się chlebem powszednim. Lecz nie na tem koniec, bo we Lwowie konfiskowano pisma za n a j w i e r n i e j s z e dosłowne przedruki z dzienników wiedeńskich, które tam nie uległy konfiskacie. Jak szkodliwym jest taki dualizm w poglądach c. k. Prokuratoryi państwa we Lwowie, Krakowie, Wiedniu lub na prowincyi, może sobie każdy dospiewać.

We Lwowie doszło do tego wreszcie, że żadna redakcya nie jest pewną, za co może być numer pisma skonfiskowany, co jest dozwolone, a co zabronione pisać. Był czas n. p., że konfiskowano za artykuły donoszące o niebardzo ładnych sprawach braci mojżeszowego wyznania, chociaż u nas we Lwowie o antisemityzmie nie ma mowy. Tak samo konfiskowano nietylko za artykuły opiewające co się dzieje w Rosyi, a biada było dziennikarzowi, który chociaż ogólnikowo napisał coś niebardzo pochlebnego o panach S t a ń c z y k a c h.

A cóż to się dopiero działo i dzieje, jeżeli dziennikarz odważy się dotknąć jakiego bardzo niewonnego faktu dotyczącego politycznego lub autonomicznego urzędnika, faktów wprost kryminalnej natury, z oświadczeniem przeprowadzenia dowodów prawdy.

Gdy dziennikarz był tego przekonania, że zwracając uwagę odnośnych władz wyższych na występki lub zbrodnie takich osobistości, oddaje tem samem usługę rządowi i krajowi, — c. k. Prokuratorya konfiskuje. Przypuśćmy jednakowoż, że potemu postąpiono słusznie i że odnośna redakcya dopuściła się oszczerstwa popełnionego na urzędniku politycznym lub autonomicznym, a więc byłoby wskazane naturalne następstwo, że c. k. Prokuratorya stawi dziennikarza w stan oskarzenia i zażąda wytoczenia mu śledztwa o oszczerstwo. Takie wypadki jednakowoż należą do najbielszych kruków, a redakcya *Strażnicy pol.* znajdowała się tylko raz jeden przez lat 7 w tak przykrem położeniu. Odnośny artykuł dotyczył pewnego naczelnika Sądu na prowincyi i był napisany rzeczywiście w bardzo jaskrawych kolorach. C. k. Prokuratorya skonfiskowała odnośny Numer, a pan Sędzia wniósł skargę o oszczerstwo. Przy pierwszym protokole śledczym redaktor odpowiedzialny przedłożył pewne dokumenta. Nie został po raz drugi wezwany do protokołu, a w trzy miesiące później odebrał zawiadomienie z c. k. Sądu krajowego karnego we Lwowie, że ponieważ p. Rusin, Naczelnik Sądu w Peczenieżynie nie popiera skargi — śledztwo o oszczerstwo zostaje zastanowione.

P. Rusin był naczelnikiem sądu aż do roku przeszłego, a więc przez okres czasu pięcioletni od owego zajścia z redakcyą *Strażnicy pol.*, aż dopiero znowu w roku zeszłym we Wrześniu występował przed Trybunałem karnym w Kołomyi, które to sprawozdanie umieściliśmy w I. Nrze *Strażnicy pol.* na dniu 1. Października 1885. Zdaje się nam jednakowoż, że p. Rusin dotychczas jest naczelnikiem Sądu w Peczeniżynie.

Procedura każdej konfiskaty jest również ciekawą i bardzo odmienną od procedury chociażby dwa lata wstecz.

Dawniej działo się tak, że jeżeli c. k. Prokurator zarządził konfiskatę, odnośny urzędnik przybywał do redakcyi i drukarni, oraz administracyi, zabierał egzemplarze, lecz równocześnie wskazywał, które artykuły i które ustępy spowodowały skonfiskowanie. Wtenczas redakcya polecała usunięcie odnośnych ustępów z łamów złożonych pisma, zaznaczając, że ustępy te zostały przez c. k. Prokuratoryę wzbronione i nakład cały drukował się bez zwłoki dalszej.

Dziś odbywa się ta procedura zupełnie inaczej:

Urzędnik przybywa i zabiera nakład, jaki zastanie, ale nie wskazuje prędzej i nie objaśnia za co numer pisma został skonfiskowany, dopóki odpowiedzialny redaktor nie uda się do c. k. Prokuratoryi i tam nie podpisze oświadczenia, że artykuł skonfiskowany usunie w c a ł o ś c i (a nie wzbronione tylko wyjątki) i że miejsce próżne zapełni innym artykułem.

Procedura taka naraża redakcyę i wydawnictwo na wielkie straty, gdyż niepodobieństwem prawie mieć przygotowane artykuły w zapasie i odpowiednie do odnośnej rubryki pisma. Z początku radzono sobie tego rodzaju figielkami, że zamiast artykułu wstępnego lub fejletonu, które zostały skonfiskowane, umieszczano inseraty, jakieś poezye które były pod ręką, a nawet pieśni z książek nabożnych. Sztuka taka udawała się raz lub dwa, lecz gdy pismo było częściej a nawet bardzo często konfiskowane, redakcya nie mogła wykręcać się sianem w ten sposób wobec prenumeratorów, bo ci naturalnie są w prawie wypowiedzieć prenumeratę, niechcąc się za często karmić takiemi łakociami.

Otóż nietylko że pierwszy nakład został zniszczony, cała procedura techniczna musiała być w drukarni wstrzymaną, ale redakcya jest w ciągłej obawie, czy i te drugie artykuły nie zostną znowu skonfiskowane. A więc koszta nakładu podnoszą się znacznie, a prenumeratorowie jeżeli nie otrzymują pism regularnie, odpadają. Że zaś nie ma sposobu żądania odszkodowania w takich warunkach, to zapewne raczy zrozumieć p. delegat Jasiński

Praktykują się jednakowoż i inne procedury, a mianowicie podczas wyborów. I tak: w roku zeszłym p. Paweł S t w i e r t n i a, inżynier, wystąpił jako kandydat do Rady państwa w Wiedniu w okręgu wyborczym Rzeszów-Jarosław. Liczne grono politycznych jego przyjaciół, znając niesnaski, panujące z powodu wyborów pomiędzy Rzeszowem a Jarosławiem, wydało odezwę do wyborców tychże miast, która została bezwłocznie skonfiskowaą. Zdarzył się wprąwdzie ten rzadki wypadek, że tak Sąd krajowy jakoteż apelacyjny wyższy nie potwierdziły tej konfiskaty. Nakład został zwrócony — ale dopiero w tydzień czy we dwa po ukończonych wyborach do Rady państwa.

Zapytujemy p. delegata Jasińskiego, jakiby też znalazł sposób, aby wynagrodzić straty pana Stwiertni, i jakby takowe obliczał?

Ale nie na tem jeszcze jest koniec, gdyż nie dosyć. że puści Numer jakiego pisma c. k. Prokuratorya i nie skonfiskuje go. To dopiero połowa sprawy wygrana, a następuje druga procedura z c. k. Policyą. Ta w pewnych wypadkach powodując się zupełnie innymi poglądami, aplikuje inną praktykę. I tak np.: Wychodzi pierwszy Nr. pisma, który nie cieszy się szczególnymi względami w pewnych sferach, np. *Strażnica pol.* Pismo to składa się z dwóch arkuszy, stanowiących jeden nr. i każda stronnica oznaczona jest liczbę bieżącą. C. k. Prokuratorya konfiskuje pierwszy arkusz, który równocześnie przesłany był i do c. k. Dyrekcyi policyi. Mówimy wyraźnie: pierwszy arkusz, oznaczony str. 8. C. k. policya widzi, że jest to tylko pół numeru, bo nie ma ostatniej stronicy, na której według ustawy prasowej uwidocznione mają być nazwiska wydawcy, odpowiedzialnego redaktora i firma drukarni.

Redakcya uporządkowała się z c. k. Prokuratoryą, wręczyła jej drugi arkusz, w którym znowu znaleziono mały ustęp nieprzepuszczalny, a więc i ten arkusz drugi w całym nakładzie musiał być na nowo drukowany.

Gdy już redakcya otarła pot z czoła i dziękowała Bogu, że nareszcie I. Nr. *Strażnicy pol.* chociaż spóźniony wyjdzie, aż tu zajeżdżają funkcyonaryusze z c. k. Dyrekcyi policyi i zabierają cały nakład drugiego arkusza do siebie, nie podciągając zabraniu pierwszego arkusza, na którym jeszcze raz powtarzamy, nie były uwidocznione ani redakcya, ani wydawnictwo, ani drukarnia, gdyż to było rzeczywiście tylko pół Numeru, któryby w takim składzie nie mogła żadna redakcya puścić w obieg.

Redaktor udawszy się do Dyrekcyi policyi, tąm się dopiero dewiedział, że te dwa arkusze są uważane jako dwa odrębne Nr; a że pismo deklarowane

---

ciela, że ciężko odchorował. Wszelkie skargi na niego nic nie skutkowały.

Ks. Gruszczyński lubiał herbatkę z rumem lub winko, dlatego przychodził zrazu do mnie, biorąc ze sobą na pocztę, gdzie pocztmistrz w wielkich garnkach warzyć kazał herbatę, którą się oba raczyli, gadając różne bluźnierstwa na naród nasz szlachetny, a ja musiałem tych herezyj słuchać i nolens volens popijać z nimi. Gdy jednak spostrzegłem, w jakiem się towarzystwie znajduję, przestałem chodzić na pocztę.

Dziedzicem Jasienicy był jenerał Załuski. Obowiązek wymagał, aby mu złożyć hołd i uszanowania; lecz proboszcz ciągle odwlekał, a więc poszedłem sam. Przyjęto mię grzecznie, oficyalnie, a gdy się tłumaczyłem z mej opieszałości i winę na ks. proboszcza złożyłem, rzekł p. jenerał:

— „To szuja, nie proboszcz, przestrzegam cię księże, abyś się z nim obchodził jak z jakiem, bo on tu już niejednego skrzywdził, oczernił i opisał. Byłem kilka razy na twojem kazaniu i lud cię chwali z wymowy; ale bądź ostrożny w słowach, bo ks. pleban dorozumie się twej tendencyi, doniesie cię do rządu. Strzeż się go, bo to łotr. Jeśli ci się w domu nudzi, przychodź do mnie, masz bibliotekę i czytaj.

To samo powiedziała mi pani hrabina, pytając: — „Cóż takiego przekroczyłeś, że cię tu dano na wikaryusza? bo tu tylko za karę przysyłają.

— „Nic takiego nie popełniłem zdrożnego, tylko jak to u nas każą tam lub ówdzie pójść, to musimy słuchać ślepo“.

Z wizyty tej poznałem największą niechęć do plebana, którego sobie sami obrali i nawet z obcej dyecezyi sprowadzili.

Ks. Gruszczyński, syn wieśniaka z gór sandeckich, był wikaryuszem gdzieś w Wadowickiem, i gdy razu pewnego państwo jeneralstwo odwiedzali ten kościół, bardzo im się podobała usłużność wikaryusza ks. Gruszczyńskiego, grzeczność, wymowa, postawa i t. p. Pani jenerałowa przejęta wdzięcznością, rzekła do niego: „Jeżeli kiedy w naszych dobrach zawakuje miejsce, proszę się zgłosić a damy prezentę“. Wypadek zdarzył, że wkrótce probostwo zawakowało w Jasienicy i ks. Gruszczyński je dostał. Takim sposobem nieznajomym księżom ni z charakteru ni ze sposobu myślenia, rozdawane bywają prezenty i wybiera szlachta plebanów nie dla ludu, ale dla siebie.

Nie będę się tu rozpisywał nad cynizmem i łakomstwem tego księdza, zdzieraniu i wyzyskiwaniu ludu przez niego. Z wikarym obchodził się jak z najgorszym parobkiem i dawał mu czeladny wikt, za który odtrącał 100 fl. rocznie, a gotówką dodawał tylko 40. Rzecz jasna, że była to nędza, straszna nędza wikarego, a dla mnie tem dotkliwsza, że nie mogłem matce przychodzić w pomoc. Nie mogąc dłużej wytrzymać, prosiłem o przeniesienie, przedstawiwjąc konsystorzowi moją dolę; a gdy mi pomimo tego nie uczyniono obietnicy, napisałem, że porzucę stan kapłański i pójdę dzieci uczyć. Dopiero wtenczas się konsystorz zmiłował i dali mi aplikatę, ale w górach, gdzie do chorego trzeba konno jeździć. Odpisałem znów do konsystorza, że jeździć na koniu nie umiem i proszę o inną posadę, ot, n. p. do Jasionowa, gdzie wikarego potrzeba. Konsystorz raczył uwzględnić moją prośbę, przysyłając aplikatę.

Nazajutrz zebrawszy manatki, wykłóciwszy sobie moją należytość 10 fl. od ks. plebana, wyjechałem do Jasionowa, zostawiwszy pakę z książkami i z obrazami w stancyi, oddając klucz od tejże proboszczowi. Nie śniło mi się nawet, jaką rolę ma odegrać ta paka z książkami.

Niektóre sprzęty zakupił pleban, ale bez pieniędzy i nigdy takowych nie oddał biedakowi.

Moje uwięzienie w r. 1846.

Rok 1846 rozpoczął się okropną burzą, a 25. Stycznia wicher gwałtowny, prawdziwy orkan huczał przez cały dzień, a lud upatrywał w tem przepowiednię czegoś strasznego. Już w roku zeszłym rozpoczęła się tajemna agitacya, elektryzująca aż z Paryża gorętsze serca polskie do powstania. Krążyły broszurki rozmaite i książki, jakoto: katechizm demokratyczny, słowa wieszcze Lamenego, prawdy żywotne (instrukcya powstania ludowego) i inne, czytane pomiędzy warstwami wyższemi. Emisaryusze oświecali naród i zachęcali do powstania. A było to w czasie, gdy polityka Meternicha była najwięcej piekąca.

Z Wersalu wyszło więc hasło do powstania, a do tego przeznaczono w Kongresówce i w Poznańskiem dzień 21. Lutego. Nigdy w kraju żadnym nie brakło zdrajców, tak też ktoś zdradził tajemnicę rządowi austryackiemu, gdzie powstanie

jest, iż wychodzić będziekaż dego 1. i 15 miesiąca, dyrekcya policyi konfiskuje, bo to są dwa odrębne nra.

Potrzeba było długo prosić i przedstawiać, że na pierwszym arkuszu nie ma przecie uwidocznionych nazwisk i zakończenia, do których ustawa prasowa obowiązuje, a na drugim nie ma znowu nagłówka z tytułem pisma, etc., a oznaczony jest stronnicą 9. i że z tego powodu, gdy te obydwa arkusze tworzą całość, pierwszy nie mógł być ekspedjowany.

Nareszcie c. k. Dyrekcya policyi dała się przekonać i wydała nakład, a że ten jako Nr. na okaz składał się z 5.000 egzemplarzy, redakcya poniosła przeszło 200 złr. straty.

Wracamy jeszcze na chwilkę do druków wyborczych. Otóż nie zbyt dawno jeszcze, bo zaledwie rok wstecz, gdy były jakie wybory, i drukowały się odnośne plakaty lub odezwy, takowe przesyłano naturalnie c. k. Prokuratoryi i Dyrekcyi policyi i nie było wzbronione rozdawanie tychże.

Dziś mamy znowu nową procedurę, bo ackolwiek c. k. Prokuratorya nie ma nic do nadmienienia i nie zarządza konfiskaty, c. k. dyrekcya policyi żąda natomiast, aby taki każdy plakat był jej na 24 godzin przedtem przedłożony, zaczem nastąpi rozdawnictwo tegoż. Wprawdzie przy wyborach do Rady miasta uwzględniała ck. Dyrekcya policyi potrzebę, lecz zależało to od jej osobistego poglądu, bez względu na to, jakie stronnictwa wyborcze, które są przecież dozwolone, ponoszą stąd straty.

Dziś u nas w Galicyi jest niepodobieństwem, aby którykolwiek z redaktorów posiadał świadomość, co pisać wolno, a czego nie; a więc doszło do tego, że wydawnictwo każdego Nru wymaga znacznie większych kosztów jak przedtem, bo po wydrukowaniu pewnej liczby egzemplarzy nie chcąc się narażać na znaczne straty, wstrzymuje się dalszy druk tak długo, aż możebność konfiskaty staje się już nieprawdopodobną. Szczególniej tracą na tem wszystkie pisma, które rzadziej wychodzą jak codziennie, bo z temi postępuje się ostro, bardzo surowo. I tak:

Jeżeli przybędzie funkcyonaryusz c. k. Prokuratoryi, a nie zastanie całego nakładu wydrukowanego, któryby mógł zabrać, wpada w niezwykły gniew i pyta, dlaczego cały nakład nie wydrukowany?

— „Dla tego, że się czekało, nie wiedząc czy nastąpi konfiskata lub nie, i aby się nie narażać na większe materyalne straty“.

To jednak nie zadowalnia p. funkcyonaryusza c. k. Prokuratoryi i nie waha się wprost grozić, że po drugi raz będzie czekał tak długo z konfiskatą, dopóki cała ekspedycya i nakład nie będą się znajdować już na poczcie, a więc opatrzone w marki pocztowe.

I rzeczywiście, możemy udowodnić wypadki, że konfiskata nastąpiła znacznie później jak zwykle, gdy już cała ekspedycya była zaopatrzoną w adresy i marki pocztowe.

Bywa i tak, że pewne wydawnictwa, dla których konfiskaty są bardzo dotkliwe, drukują tylko dwa egzemplarze, tj. dla c. k. Prokuratoryi i Dyrekcyi policyi. Wtenczas przybywa funkcyonaryusz prokuratoryi i nie mając nic więcej do konfiskowania, żąda aby mu jeszcze pewną liczbę egzemplarzy wydrukować, które zabiera.

Czy takie postępowanie jest prawidłowe i usprawiedliwione wobec obowiązującej ustawy prasowej?

Za prawdę tych faktów poręczamy i w danym razie obowiązujemy się złożyć dowody.

Wiec rolników

w sprawie

Przesilenia agrarnego.

a) Właściciele ziemi.

II.

Na dzisiejsze położenie właścicieli ziemi, składały się przeróżne powody i wszelkiego rodzaju nadużycia, które są na porządku dziennym i w ciągłym przyroście, dlatego stało się życie rolnika nieustanną walką we łzach i znoju bez nadziei lepszego jutra. Fluktuacya cen ziemiopłodów niewpływa na byt rolników, ponieważ tak zawsze było i będzie, że ceny produktów będą się podnosić i spadać, zwłaszcza że to niezawisło od właścicieli, tylko od różnych na ustalenie się cen wpływ wywierających czynników, warunków ekonomicznych i świata handlowego.

Do wyrobienia się tego chorobliwego stanu rolnictwa naszego, przyczynił się bez wątpienia nadmiar przebytych i przebywanych krzywd ekonomicznych, do których zaliczyć trzeba dłuższy czas praktykowaną wolność lichwy, o czem aby na tem miejscu mówić, trzebaby powtarzać tę aż do znudzenia przeżuwaną teoryę z ekonomii społecznej bez uchwytnych dowodów. Dzisiejsze rozpaczliwe położenie posiadaczów ziemi spowodowało nienormalny obrót pieniężny a właściwie brak pieniędzy, który powstał z powodu przeciążenia naszego rolnictwa podatkiem gruntowym. Zastanówmy się w krótkości na podstawie cyfr i dat urzędowych, o ile podatek gruntowy został w ostatnich 30 latach podwyższonym.

Po koniec roku 1859 płaciła Galicya rocznie 2,728.075 złr. *podatku gruntowego tz. Steuervorschreibung.*

W r. 1850 nastał na mocy cesars. patentu z d. 10. października 1849 *pierwszy dodatek tz. Zuschuss* i wynosił $^1/_3$ część podatku, albo 909.222 złr., co łącznie z podatkiem uczyniło 3,636.889 złr. i od tego czasu *niepłacimy już podatku, tylko powinność podatkową tz. Steuerschuldigkeit.*

W r. 1856 po przyłączeniu Krakowa do Galicyi z powodu powiększenia terytoryalnego wynosił podatek 2.826.669 złr. a $^1/_3$ od tego na Zuschuss 942.222 złr., łącznie 3,768.891 złr. Tę powinność podatkową płaciliśmy do końca r. 1858.

W r. 1859 podwyższono ten Zuschuss o $^1/_4$ część, co wynosiło 234.799 złr. i nazwano to podwyższenie Zuschlag, przeto wypadało na:

Podatek	2.818.597 złr.
Zuschuss	939.199 „
Zuschlag	234.799 „
całą powinność	3,991.595 złr.

Tę powinność płaciliśmy tylko przez rok 1859 i 1860.

W r. 1861 podwojono Zuschlag i wypadało na:

Podatek	2.807.560 złr.
Zuschuss	935 853 „
Zuschlag	467.926 „
całą powinność	4.211.439 „

Tę powinność płaciliśmy do końca r. 1866.

W r. 1867. podwójono znowu Zuschlag, który wynosił to samo co i Zuschuss, i nazwano to podwyższenie Landeserfordernisse, co wypadało na:

Podatek	2.773.218 złr.
Zuschusss	924.406 „
Landeserfordernisse	924.406 „
całą powinność	4,622.030 „

Tę powinność podatkową płaciliśmy do końca roku 1880, i tak jest uwidocznione w wykazach urzędowych, któremi centralna komisya dla podatku gruntowego w Wiedniu przy ostatniej regulacyi się posługiwała. Aby właściciel ziemi tem pewniej i przekonująco w to uwierzyli, powołuję się na to zestawienie, które były p. minister skarbu Br. de Pretis był przedłożył d. 30 Marca 1878 r. izbie poselskiej jako alegat do projektu rządowego w którym znajduje się tak:

	Przedlitawia:	Galicya:
Dochód grunt.	144,118.631 złr.	17,300.000 złr.
Podatek po 16%	22.543.508 „	2,773.218 „
Dodatki po $10^2/_3$%	15 029.004 „	1.848.812 „
Powinność po $26^2/_3$%	37,572 512 „	4,622.030 „

Owoż teraz zaznaczyć trzeba, że nam niepodwyższano podatki, albowiem podwyższenie podatków pociąga za sobą zmianę stopy procentowej, a tem samem i zmianę podatku. Nam ustanowiono *dodatki i podwyższano tylko dodatki.*

Po ukończonym szacunku dochodu gr. w r. 1880 wykazano, że w Galicyi ten dochód z 17,300.000 złr. na 24,487.248 złr. podniesiono. Było to podczas obradującego Sejmu r. 1880, i *Strażnica polska* z tytułu takiego podwyższenia dochodu gr., była pierwszą, która tę sprawę groźno przedstawiła, albowiem w nr. 7. z dnia 26. Czerwca 1880 tego pisma zaznaczone jest tak:

„Pod każdym względem zasługuje sprawa katastralna na większe zajęcie się nią, bo po rozłożeniu podatku gruntowego, który będzie w Galicyi mniej więcej podwójnym, wyrządzi się właścicielom ziemi największą krzywdę. A ktoby się zechciał nad tem bez uprzedzenia zastanowić i możliwe nastąpić mogące ewentualności wyprowadzać, to wkońcu musi przyjść i na to, że nasze dzieło szacowania dochodu gruntowego wyda bardzo cierpkie owoce i narobi wiele kwasu, a niechbyśmy byli fałszywym prorokiem, że cała nasza sprawa katastralna, będzie daleko więcej drażliwą, niżeli były smutnej pamięci sprawy, które pod nazwą „lisy i pasowyska“ pamiętamy“. To samo mutatis mutandis podawały później *Dziennik pol. Gaz. nar.* i inne a nawet i z dowodami cyfrowemi.

W r. 1881 wszystkie te przepowiednie się ziściły, bo dawną powinność podatku gruntowego 4,622.030 złr. *) na 9.264.340 złr. podwyższono a zatem podwójono. Z tych zestawień przekonuje się każdy właściciel ziemi, że w Galicyi została należy-

*) Na rok 1880 jest w wykazach urzędowych kwota 4,613.316 złr.

---

w masach chłopskich miało się rozpocząć, a przelać się na Koronę i Wielkopolskę. Postępowanie władz wtenczas zdawało się takie, jakby umyślnie dozwalały dojrzeć ruchowi; to też śmielej rozwiązywały się języki, a buta polska szlachecka podnosiła czoła. Drwinkowano sobie z Niemców wesoło i w jakiejś błogiej radziei upływały dni, a szczególniej od Nowego Roku. Ale i rząd czuwał, a tajna policya była najczynniejsza; rewizorowie baczniejsi, napastywali czasem przejeżdżających lub podróżnych, rozsyłano po targach i jarmarkacy z czykułu ludzi, t. nazw. „Strafbotów“, aby lud trwożyli, że będzie rzeź, że panowie chcą chłopów wyrżnąć.

W czasie pobytu mojego w Jasionowie przyszedł do księdza proboszcza najpoczciwszy i wielce szanowany rolnik Crzędżak, wzór obywatela włościanina i opowiadał strwożony, że w Brzozowie opowiadał ktoś, że panowie chcą chłopów wyrżnąć i t. d. Ks. proboszcz i ja przedstawialiśmy temu wieśniakowi, że kto widział wierzyć w takie wierutne baśnie; a któżby robił na pana, gdyby się udało jednemu panu tysiąc chłopów zarżnąć? — On to pojmował, ale nie mógł przekonać drugich.

W tym roku była także konskrypcya, chociaż nie w swoim czasie, bo była dopiero niedawno w r. 1843. Po konskrypcyi kazał p. „Leitnant“, aby urlopnicy zostali, a zamknąwszy się z nimi, dawał im instrukcye różne. Ks proboszcz zapytał przy mnie parobka urlopnika, co im tam mówił p. „Leitnant“ potajemnie? Nie chciał zrazu nic mówić, aż po długich prośbach półgębkiem się wymówił, że oficer im kazał, aby byli gotowi, bo będzie buntacya i ruch w kraju; aby nie słuchali nikogo tylko oficerów. Więcej nie chciał mówić, chociaż było widocznem, że coś więcej ukrywa.

Zmięszały nas te oznaki czyli przestrogi, aleś my myśleli, że gdy przyjdzie czas, to przyjdzie i rada, co robić. Donoszono nam także, że komisarze i kanceliści porozjeżdżali się po wsiach, że osławiony Simmelmajer siedział w Jabłonicy i tam chłopów nauczał.

Tak samo robili i inni, obrabiając lud po wsiach, gdzie nie było dworu. Już nawet żydzi stawali się zuchwalszymi i tak: Gdym jechał do Korczyna z kolegą, było bardzo zimno; wstąpiliśmy do karczmy aby się ogrzać, arendarz wypytywał się parobka o nas i rewidował wóz, czy nie wieziemy co zakazanego, tj. broni.

W kółkach szlacheckich po dworach zapanowała trwoga, nieufność, tchórzowstwo, przechodzące wszelkie granice. Byli nawet tacy, co denuncyowali wszystko do cyrkułu. Dowodem między innemi niechaj będzie następujący wypadek:

W dworze jednym dano mi jakieś wiersze do deklamowania. Pani Sikorska, o której już przedtem pisałem, zżymała się i drwiła z nich, a ja jej tłumaczyłem, że tak będzie, i ta pani w trwodze pędzi natychmiast do cyrkułu, opowiada o powszechnych rozmowach i o wierszach przezemnie deklamowanych. Pan starosta pyta się co to za księdz? a gdy się dowiedział, wysyła komisarza do Jasienicy. Inny proboszcz byłby mówił, że nie ma wikarego, albo nareszcie, że przeniesiono go już do Jasionowa; ale ks. Gruszczyński opowiedział, że zostawiłem pakę z książkami i obrazami. Poszedł z komisarzem otworzyć pokój, rozbito pakę, szukano, ale nic nie znaleziono karygodnego. Ks. Gruszczyński donosi mi o tem listownie pocztą, adresując list jak następuje: „W. J. X Bukowskiemu, wikaryuszowi i emisaryuszowi polskiemu w Jasionowie“.

Zgrozą przejęci tą nikczemnością odłożyliśmy jednak ten czyn na późniejszy czas. Przygotowaliśmy się w duchu do wystąpienia gdy godzina uderzy.

Nastała burza i straszna nawalnica śniegu. Ze wsi Jasionowa nie można było prawie wyjechać. W tej porze zjawia się na plebanii Feliks Miączyński, gorliwy patryota, którego za książeczki w ostatnim roku wykluczono z seminaryum. W obecności mojej okazuje mandat rewolucyjnego komisarza, przykazuje nam, abyśmy lud do powstania przygotowali i daną nam proklamacyę jemu przeczytali, w której ogłasza się wolność Polski i wyswobodzenie ludu z pańszczyzny, jeżeli lud powstanie z bronią w ręku.

Gdym mu w tym względzie moją wątpliwość oświadczył, że lud nie pójdzie z nami, odrzekł:

— „Masy insurekcyjne i zbrojne poruszą siłą lud“.

Nakazał 21. lutego odprawić solenną mszę, poświęcić broń, pobłogosławić i zaprowadzić lud do punktu zbrojnego, przemówić z ambony i przeczytać proklamacyę.

Poczciwy komisarz wojenny nie przeczuwał,

tość podatku grunt. *w przeciągu 30. lat tj. od r. 1850 do r. 1881 prawie o 4 razy zwiększoną, bo z 2.728 075 złr. urosło na 9.264.340 złr.* a to wszystko udowadniają nasze książki podatkowe.

Właściciele ziemi w Galicyi przyzwyczaili się pomimo ciągłych narzekań na przeciążenie podatkiem gr., płacić od r. 1867 do końca r. 1880 a zatem przez lat 14 jedną i tę samą powinność podatkową 4,622.030 złr. według której wydatki uregulowano a obrót pieniężny został w ten sposób dla rolników ustalonym. Od r. 1881, ponieważ powinność podatku gr. została wskutek ostatniej regulacyi podwojoną, zaczęli rolnicy płacić po 9.264.340 złr. rocznie, przezco powstał nienormalny obrót pieniężny i brak gotówki, ponieważ w przeciągu 5ciu lat tj od r. 1881 do 1885 ubyło rolnikom przeszło 23,000.000 złr w porównaniu tego, co do r. 1880 płacili, niebiorąc w rachubę procenta zwłoki, koszta egzekucyi, sekwestracyi i licytacyi nieprawidłowej. Gdyby ubytek tej gotówki 23 milionów złr. był pozostał przy rolnikach jak bywało do r. 1880, to niebyłoby w r. 1885 ani wieców rolniczych, ani tz. przesilenia agrarnego.

W. c. k. Rząd chciał właścicieli ziemi przysposobić i przygotować przez stopniowe przejście do uiszczenia się tej podwójnej powinności podatkowej, która dopiero *na rok 1892 do płacenia w całości przypada*, albowiem wyszła ustawa z dnia 7. Czerwca 1881 roku Nr. 49. która poucza, aby właściciele ziemi tę powinność 9 264 340 złr. nie odrazu w całości rok rocznie, tylko sposobem stopniowanym od dawnej do nowej powinności w kasach rządowych uiszczali. Na nic się nawet dobrodziejstwo tej ustawy właścicielom ziemi nieprzydało, bo w naszym kraju przyciśnionym tyloma nędzami, zaprzątniętym rozplątaniem najzawilszych zagadnień utrzymania bytu, zastosować się dadzą słowa, które kiedyś stary Cycero powiedział „Quid leges sine moribus“. Dziś niepotrzeba w żadnej gałęzi nauk ludzi fachowych, ale zarozumiałości i zuchwalstwa, albowiem tak się zaklimatyzowała u nas blaga, że nic bez niej a wszystko przez nią. Nawet miłość ojczyzny, najświętsze z uczuć niesprofanowane dotąd, jest dziś dziwnie zużytkowaną, zrozumianą, a co najsmutniej wyzyskiwaną bezwzględnie. Zasłaniają się nią i mówią o niej wszyscy, ale po za nią stawiają, albo ambicyę własną lub interes jeszcze nad nią nikczemniejszy. Obok tego rozsiadła się blaga, fałsz zapuszczony i cynizm, nieumiejący nic powstrzymać. — I któż może mieć dziś odwagę wystąpić jawnie z prawdą, jeżeli interes, sobkostwo gorszące, tchórzliwość aż do upodlenia posunięta, obłudna bogomyślność, wzajemna adoracya, serwilizm i obskurantyzm panują ponad wszystkiem. Owóż w takim to czasie zwanym postępu, zaskoczyła nas regulacya podatku gruntowego, podczas której wzięto sobie za hasło „nierobienia rządowi kłopotów“. To nierobienie kłopotu, narobiło rządowi i krajowi wiele kłopotów, a rozpaczliwe położenie rolników i te odbyte wiece są tego jawnym dowodem. Na tych wiecach żaden z rolników niewystąpił z prawdą, a trzeba być bardzo naiwnym, aby w to uwierzyć, że o dobrodziejstwie ustawy z d. 7. Czerwca 1881 Nr. 49 nie wiedzą. Wszakże podatki to sprawa zanadto realna, zanadto blisko obchodząca całą masę ludności, ażeby godziło się zdać ją w zupełności na nieomylność jednego a może kilku ludzi. Byłoby to jednak niegodnem inteligentnej klasy rolniczej, gdyby cały trud myślenia o sprawach podatkowych zdali na nich, i aby w całym kraju nikt, zgoła nikt nie znalazł się, ktoby niezechciał na oślep iść za zdaniem ich w tej mierze, bez dokładniejszego wyrozumienia. Przyspieszono ten chorobliwy stan naszego rolnictwa, przezco się nikt W. c. k. rządowi i krajowi z całą pewnością niezasłużył, bo wielu to właścicieli ziemi zostałoby uratowanych, gdyby od r. 1881 byli zaczęli płacić powinność podatkową w myśl ustawy z d. 7. Czerwca 1881 sposobem stopniowanym, a wieluby to jeszcze rolników można ratować, gdyby im podano sposobność korzystania z dobrodziejstwa rzeczonej ustawy. Weźmy np. te powiaty, których jest najwięcej, gdzie dawna powinność podatkowa została o $2^1/_2$ albo 3 razy zwiększoną, to okazuje się, że taki właściciel, który dawniej płacił 100 złr. powinności podatkowej, od r. 1881 jeżeli jego dawną powinność z r. 1880 zwiększono o $2^1/_2$ razy, zapłacił po 250 złr. rocznie, za 5 lat razem 1250 złr., a powinien zapłacić według stopniowego przejścia 634 złr., przeto nadpłacił o 616 złr. więcej. Ten zaś właściciel, którego powinność zwiększono o 3 razy, zapłacił 1.500 złr., powinien 664 złr. nadpłacił 836 złr. Albo weźmy te powiaty, jako to: Zaleszczyki, Czortków, Skałat, Husiatyn, Kossów i Pilzno, gdzie dawną powinność z r. 1880 o $3^1/_2$ i 5 razy zwiększono, to taki właściciel, któremu podwyższono o $3^1/_2$ razy, zapłacił za tych 5 lat razem 1750 złr., powinien 694 złr., nadpłacił 1.056 złr. Ten zaś któremu dawną powinność o 4 razy zwiększono, zapłacił 2.000 złr. powinien 724 złr. nadpłacił 1.276 złr. Jeżelibyśmy wzięli do obrachowania obszary dworskie, to każdy folwark biorąc przeciętnie, że po 1000 złr. płacił dawnej powinności, stosownie do powyższych cyfr, nadpłacił 10 razy więcej. Te cyfry nie są zmyślone, to jest prawda, która się nieda zaprzeczyć, bo tyle jeszcze prawdy co w cyfrach. Dlaczego te cyfry na wiecu rolników niebyły poruszone, a są bezwątpienia jedynym dowodem obecnego stanu naszego rolnictwa, tego na tem miejscu opisać niemożna, bo to jest bardzo długa i smutna historya.

Lekceważenie sprawy podatkowej, niczem się nieda usprawiedliwić, a właściciele ziemi popełnili błąd, o poprawie którego nawet niemyślą. Błąd taki niema właściwej nazwy w polskiej mowie, ale zato Niemcy nazywają to „ein national-oekonomisches Verbrechen“. Cała wina lekceważenia tej najżywotniejszej kwestyi kraju naszego ściśle rolniczego, niespada na lud, który doniosłości tej sprawy nierozumi, ani na fine fleur społeczeństwo, które wszędzie jest jednakowe i takimi rzeczami jak podatek się niezajmuje, ani nawet na inteligentnych właścicieli, którzy żyją na roli i z roli, bo im niewystarcza czasu na takie zajęcie się; — tylko na tych, którzy rzekomo jako eksperci i instruktywni kierownicy do spraw podatkowych wystąpili.

Centralna komisya dla podatku gruntowego w Wiedniu, która się składała ze samych specyalistów, nieżenowała się powoływać do narad ludzi fachowych z prowincyi, ale naszym przewódzcom wystarczyło, przeczytanie tylko ustawy. Bardzo jest to chlubnie i zaszczytnie mieć we wszystkich naukach pewne pojęcia ogólne, a przytem dar oratorski, ale przy podatkach, gdzie nagie, ścisłe, literalne brzmienie ustawy powinno rozstrzygać, gdzie tylko cyfry, nieubłagane zasady arytmetyki powinne być stosowane, jest ogólne wykształcenie niewystarczające, bo pokazało się w końcu, że w tej nieszczęśliwej kalkulacyi podatkowej, ludzie nawet wysokiej inteligencyi niewiedzieli, co to jest podatek, a co powinność podatkowa. Dobre to mają Niemcy do tego przysłowie:

Można być dobrym człowiekiem,
Jednak kiepskim muzykantem,
Dobrym posłem i marszałkiem
Ale lichym kalkulantem.

Nasi pedagogowie, którzy nam pouczenia o podatkach wydawali niemieli tej skromności co dostojny ks. biskup Pełesz, który powiedział: „ja o tem nierozprawiam, czego nierozumię“ tylko w każdym przedmiocie chcieli uchodzić za specyalistów. Zaufani w swoich zdolnościach i sprycie do lawirowania, niezdradzili się; bo mieli swój własny parawanik, po za który w trudnych razach się chowali. Takim parawanem było słowo „fiskalizm“, użyte w różnych przypadkach i na różne części mowy przy znakomitej gimnastyce słów, tylko — że bez dowodu cyfrowego.

Właściciele mogą bez pośrednictwa wieców i opiekuństwa się ratować, bo każdy obszar dworski wraz z właścicielami mniejszych posiadłości, którzy stanowią razem gminę katastralną, mogą w drodze legalnej z dobrodziejstwz ustawy z dnia 7. Czerwca 1881 dokąd jeszcze czas korzystać. Żyjemy w państwie konstytucyjnem gdzie ustawy są w poszanowaniu, więc z zaufaniem możemy się udać do Wys. c. k. władz, bo ani ministerstwo w Wiedniu ani krajowa władza skarbowa we Lwowie niewiedzą o tem, w jaki sposób przez proste niezrozumienie ustawy samych siebie krzywdzimy i rujnujemy nieprawidłowem uiszczeniem się z powinności podatkowej. Porzućmy jałowe wyrzekania na niesprawiedliwość ze stanowiska fiskalismu, nie udawajmy się na drogę łaski w sprawie rachunku pieniężnego, gdzie o łasce nie może być mowy, tylko trzymajmy się litery ustawy. Czas byłby, aby właściciele dóbr zwrócili cokolwiek uwagi na niemieckie przysłowie: „In Geldsachen hört die Gemüthlichkeit auf“.

Jeżeli właściciele jak to w *Kurjerze lwow.* Nr. 1 i w *Strażnicy pol.* Nr. 8 b. r. jest podane za $4^1/_2$ lat nadpłacili tak pokaźną kwotę jak 17.000.000 złr. i przez to chorobliwy stan naszego rolnictwa przyspieszyli, to jeszcze z tego niewypływa, aby ta nadpłata samych tylko właścicieli dotyczyła, ponieważ mamy drugą klasę rolników, a tymi są dzierżawcy, którzy chociaż niebędąc posiadaczami także poniekąd do tej nadpłaty konkurowali, dlatego zastanówmy się i nad tą drugą kategoryą pracowitych rolników, których byt przez podwyższenie i nielegalne uiszczenie powinności podatkowej jest zakwestyonowany, a o których nawet na odbytych wiecach rolniczych nie wspomniano. (C. d. n).

To i owo o Galicyi.

(Przegląd tygodniowy).

W sprawach wiary nie ma sporu. Kto wierzy w cuda, życzyć mu możemy powodzenia i spełnienia rzeczy, choćby sprzecznych z potęgami natury i naszym pospolitym rozumem. Ale inna to wiara, a inna dążność do utrwalenia przesądów i zabobo-

---

że lud już do czego innego przygotowany przez komisarzy i „Strafbotów“.

Na rozprawach o przyszłem powstaniu, o masach i przygotowanej sile, przeszła nam prawie cała noc. Przedrzemawszy się nieco, wstaliśmy i pożegnali pana komisarza. Zobowiązał mię, że mu towarzyszyłem do księży i do dworów po drodze, i że miałem zostać w Jasienicy do dnia powstania i lud tam przygotować, bo ks. Gruszczyńskiego znano jako zdrajcę. Po drodze wstępowaliśmy do dworów i do księży. Miączyński rozdawał proklamacyę i regulamin, a ja dawałem księżom instrukcyę, jaką Mszę św. odprawić, jaką modlitwę przy poświęceniu broni odmawiać, a mianowicie jak odśpiewać suplikacye.

Droga była zasypana, kopna, i tak przywlekliśmy się do gościńca, do karczmy kombornianskiej. Tu nam oświadcza arendarz, że się do Jasienicy nie dostaniemy, bo nawet poczta nie szła, takie zaspy na wzgórkach i w lesie. Przenocowawszy w karczmie, pojechaliśmy rano na plebanię w Komborni. Tu był proboszczem rzadki duchowny, bo miał żonę w klasztorze a dzieci przy sobie. Sam wiekiem złamany, trzymał arendę w Komborni. Był to marszałek jakiegoś biskupa w Krakowie, czy kogoś z magnatów. Stary o ojczyznie nie myślał, a nawet nie miał pojęcia o niej. Natomiast ks. wikary jego Walenty Zgrzebny, całą duszą i ciałem Polak, miał tu działać na lud, który go kochał i poważał.

Przyjął obowiązek na siebie, a my pojechali do dworu. Dziedzicem tej wsi i drugiej był p. Feliks Urbański, Polak w gębie, ale tchórz i bez charakteru, bez czci, bez wiary, bez podeszew u butów, utracyusz i oczajdusza.

Party okolicznościami, na wszystko przystawał, gotował się, bo się bał okropnie kulki.

Ułatwiwszy zlecenie moje, wracałem do Jasionowa; przysiadł się do mnie Julian Goslar, którego tu poznałem także jako komisarza rewolucyjnego na obwód sanocki. Pływał w sferach empiryjskich i był tego przekonania, że się to powstanie en gros udać musi. Przyjechaliśmy do Haczowa do dworu dziedzica Ksawerego Urbańskiego, rodnego brata Feliksa, z tą tylko różnicą, że nie był rozrzutnym i birbantem.

Tu zastałem ks. Lecha, proboszcza, którego ze seminaryum znałem. Ksiądz ten był bezbarwny i bez charakteru. Z obrządku grecko-katolickiego przeszedł na łaciński — dla grosza.

Goslar i ja wysililiśmy całą wymowę, aby go do sprawy narodowej zachęcić, a gdy to nie skutkowało, gorący Goslar pogroził mu trybunałem rewolucyjnym. Półgębkiem przyrzekł uczynić, co od niego żąda, ale Goslar nie wierzył i postanowił tam nocować, a ja pojechałem do domu.

Gdy przyszedłem na plebanię, zastałem tam wójtów z parafii naszej i może z 15 chłopów. Tu im ks. proboszcz wykładał cel i korzyści z powstania, usamowolnienie ludu. Chłopi wątpili i lękali się, czyniąc niedorzeczne zarzuty. Użyłem mej wymowy, zbijałem zwątpienia, obawy, przedstawiałem możebność tego powstania. Mówiłem między innemi, że gdy wszystkie gromady powstaną, to czapkami ten batalion w Sanoku i Niemców zasypiemy. Ja pójdę z wami, a ten Pan Jezus ukrzyżowany doda nam sił i zwycięstwa. Wójci zastawiali się przysięgą złożoną; niektórzy mówili, że jeżeli drugie gromady pójdą, to i my pójdziemy. Aż gdy ks. proboszcz przemówił: „A więc przygotujcie się; przyjdziecie jutro na mszę św., a po błogasławieństwie pójdziecie z ks. wikarym do Sanoka“. Na to odezwali się wszyscy: „nie przyjdziemy do kościoła i nie pójdziemy do Sanoka!“

— „Dlaczego?“ — zapytałem.

— „Bo my na cesarza nie pójdziemy“.

Nic nie pomogły dalsze przemowy, chłopstwo wyszło i rezonowało, a ja mówię do proboszcza: „gdzietam nasz lud się ruszy; chłopstwo poszłoby tylko pod pressyą. Gdyby organizacya powstańcza siłę zbrojną zwyciężyła i zaprowadziła rząd nowy, toby tylko w takim razie może coś poszło. Przeczuwam, że będzie źle, przygotujmy się do śmierci lub strasznego nieszczęścia. Zresztą trudno się temu ludowi dziwić, bo przecież widzimy, czem dla niego pańszczyzna. Jeżeli go ekonom wczoraj katował, dręczył i grabił, a dziś żąda szlachcic, aby porwał za kosę, jemu wierzył i szedł z nim, to czyż ten chłop jest tak bezwiedny, aby go usłuchał?“

Ze ściśnionem sercem i z myślami dręczącemi położyłem się do spoczynku, ale spać nie mogłem długo, długo. (C. d. n.)

nu. Pracą tą popisuje się od czasu do czasu, także *Czas*, ale tylko podwawelski, znany z rozmaitych cnót i niecnotek niekiedy. W jednym ze swoich listów rzymskich każe naprzykład wierzyć swoim czytelnikom, że gdzieś tam w górze, czy podziemiach, zapisane były straszliwe przepowiednie na rok 1886: *totus mundus vae clamavit.* Gdyby je był wypisał jaki badacz przyrody, astronom, meteorolog, to kto wie, możeby się świat gotów liczyć z przepowiednią i zastanawiać, czy będzie to powszechny, czy tylko częściowy kataklizm; ale gdy ktoś mówi, że to prorocze widzenie, a jednak prawda, no, to trochę osłabia wiarę w zmysły wierzących. Tem to właśnie szermuje korespondent *Czasu* i całkiem na seryo potem woła: uspokójcie się dziatki, niebezpieczeństwo odwrócone, nie mamy się czego lękać bo — bo — papież zapowiedział jubileusz odpustowy. Jeżeli tylko spełnicie jego warunki, to mieć będziecie zamiast gwiazd spadających (!), wstrząśnień i przeczuć końca, mieć będziecie „miłościwe lato!“ Swietna dedukcya. Czy brednie tego rodzaju godzi się zaliczać do środków wzmacniających wiarę? — Wdaję się jednak w rzeczy nieswoje, a teologia, która rozwiązuje wszystko jak jej potrzeba, względnie zaś jej reprezentanci, gotowi udowadniać zbawienność tego środka, który — trudno przeczyć faktom — ogłupia znaczną częsc mieszkańców Galicyi.

Wychowanice tej szkoły jezuickiej, przeobrażającej się w sekciarstwo nowoczesne, ziejące nienawiścią do każdej myśli nowszej, uciekają z towarzystwa, w którem choćby tylko powierzchowna rozpocznie się dyskusya o sprawach nauki, lub wytoczy krytyka stosunków społecznych. W atmosferze tej przeistaczają się nader szybko nawet umysły niegdyś heretyckie — oczywiście w pojęciu katolickiem. Swietną próbkę pod tym względem przedstawia jedna z panienek, przybyła z zagranicy do Lwowa dla „utwierdzenia się w wierze katolickiej“. Narzeczony, który wybrał ten „matecznik“ wszelkich łask niebieskich, ażeby narzeczoną innego wyznania zwrócić na łono jedynie zbawiającege katolicyzmu, wybrał widocznie jak ślepy, bo może się już pożegnać z przyszłą żoną. Panna, powierzona opiece duchownej ks. Kalinki, utwierdziła się już tak dalece w sprawach wiary, że zaczyna małżeństwo poczytywać za grzech, który przyjdzie z czasem odpokutować przynajmniej czyśćcem. Przełożony nowoczesnych czyli odrodzonych jezuitów, przezwanych nie bez racyi „zmartwychwstańcami„. rozwija akcye w kilku kierunkach. Jako historyk władający świetnym stylem, prawiący na pozór świetniejsze jeszcze prawdy, które jednak zawsze jakoś tak wychodzą, że dawne rody i dawna szlachta błyszczy splendorem mimo wad i błędów, kaptuje sobie — szlacheckie i magnackie kieszenie. Umie on na ludzi czynu i zwolenników postępu z końca przeszłego wieku nagromadzić tyle barw ciemnych, osobiste ich ułomności przedstawić tak potwornie, że zasługi ich publiczne tracą wszelką wartość, że wychodzą na jaw tylko przywary ohydne a zasługa wszelka przypada jedynie jakiejś wyjątkowo łaskawej Opatrzności dla narodu, który w gruncie, mimo zgnilizny chwilowej, korrupcyi i zepsucia — był jednak do szpiku — katolickim. Wartoby zwrócić uwagę na tę kameleonową naturę prac „duszochwata“ rzymskiego, jak go tu nazywają rusini. Byłaby to wdzięczna praca dla historyozofów z zawodu. Ten sam historyk z tonzurą i w sutanie, jako wierniejszy jeszcze sługa ultramontanizmu, wziętość swą i popularność w komedyi patryotycznej, umie świetnie wyzyskiwać dla Rzymu. Zdolność to nielada, uczynić płynnemi nadrujnowane fortuny galicyjskie dla celów pobożnych, dla internatu lwowskiego i świętopietrza. Sejm uchwala znowu subwencyę dla zmartwychwstańców, choć skąpi jej dla „kółek rolniczych“. Protestują tylko rusini, przekonani o nędzy ludu, płacącego dodatki do podatków. Któżby inny poważył się protestować w sejmie? Panom o krwi fioletowej nie daliby spowiednicy rozgrzeszenia, a pozornie niezależni potrzebować mogą protekcyi pańskiej. Uzasadnioną odprawę tym zamachom jezuickim na fundusz krajowy, dał *Kurjer lwowski*, a jakiś, głęboki widać znawca spraw i dziennikarstwa galicyjskiego, zaraportował do Warszawy, że Kuryer służy interesom ulicy. Ulica — hm! ulica. Jak też sobie wyobraża tego gatunku sprawozdawca chwilowych prądów lwowskich, znaczenie słowa „ulica?“ Jadący powozem bankrut galicyjski, próżniak światowy, szuler resursowy nazywa ulicą całą pracowitą rzeszę, krzątającą sie po ulicach, handlach i warsztatach, a lokaj, dla którego pan wyrocznią, bywa papugą i przedrzeźnia próżniaka. Choroba to widać zaraźliwa, dziwna wszakże, że badacz chwilowych potrzeb i stosunków galicyjskich, może w dodatku kandydat do katedry uniwersyteckiej, kokietuje z liberyą. Niech mu szczęście służy, ale dla pewniejszego skaptowania sobie upatrzonego pana, nie powinienby ukrywać swego nazwiska. Stronnictwo, dające afirmacyę kohorcie lokajskiej, powinno wiedzieć, jaka nowa gwiazda wschodzi na horyzoncie cnót tradycyjnych. Ale to zwykle tajemnicze gwiazdy, służą głęboko ukrytym talentom. Ta sama bowiem zorza na niwie sprawozdawczej, która robi *Kurjerowi lwowskiemu* zarzut, inspirowany przez idyotycznych wyzyskiwaczy rodów, robi z głąbia politycznego, stojącego w roli arendarza na czele jednego z dzienników lwowskich, człowieka wykształconego i mędrca. Tak to nieraz tancmistrz lwowski, może figurować o sto mil od Lwowa, jako głęboki polityk. Wszystko to na dobrą wiarę. O! ta tradycya i ta dobra wiara! Jakich to rzeczy i spraw kłamliwych niewszyto już w ich fałdy.

Dwadzieścia kilka lat ery konstytucyjnej w Galicyi posłużyło do tego, żeby odżyła w całej pełni tradycyjna polityka „familii“, tradycyjna solidarność w braniu urzędów kosztem kraju, tradycyjna buta mimo golizny i tradycyjny lament na ciężary publiczne, choć się je w samej rzeczy spycha na barki ludu. Zajmujący byłby bilans zdobyczy samodzielnych. Zacznijmy od oświaty. Hasło to było czemś przed laty. Dziś pod oświatą rozumieją sfery szlacheckie: „Dajcie chłopu moralność, wołają, dość z niego — a moralność ma oczywiście przyjść przez rozdawanie broszur, z których się lud dowiaduje, że ślepa wiara starczy za wszystko. Na inne płody rzuca się przekleństwo. I lud głupi i przesądny, jak był przed laty. Od nauczycieli ludowych żąda się poświęceń. W imię patryotyzmu żyj za 16 zł. miesięcznie z żoną i dziećmi często. W imię patryotyzmu rób tak, żeby mię chłop kochał. Ja sam się poświęcam, jadę do Wiednia jako rajchsratowicz i biorę tylko 10 złr. dziennie, ażeby godnie reprezentować naród. Jadę do Lwowa na sejm i w imię idei — jakiej? — wołam: niepozwalam, żeby rusin uczył się w swoim narodowym języku. Względy pedagogiczne, to furda, byle „karność“ była w narodzie. Takich mamy statystów i moralistów. Karność, to nie spełnienie życzeń i potrzeb narodu, to specyficzna galicyjsko-szlachecka: trzymać za łeb inne stany. Karność, to huknąć przy pomocy gardzieli lokajskich na wszelkie, zgodne z duchem czasu aspiracye: warcholstwo! herezya! tromtadracya! A przy obskurantyzmie starczą owe szlachetne denuncyacye, żeby ludzi niewinnych szykanować. Jak nędzny jest rozum stanu, dość powiedzieć, że aspiranci do stanowisk w państwie, często nie pojmują różnicy pomiędzy nauką socyologii a socyalizmem. Zdobycze naukowe nie istnieją. Ale za to umiejętność obchodzenia ustaw konstytucyjnych — ta jest świetną, meternichowsko-tradycyjną.

Nauka — byłaby piekną rzeczą, gdyby nie pachła nowinkami, nie zarywała herezyą, nie psuła młodzieży. Dlatego to w uniwersytecie lwowskim kilku profesorów tak ważnych przedmiótów, jak: ekonomia polityczna, filozofia, literatura, unika niebezpieczeństwa i nie studyuje nowych szkoł i nic nie wykłada. Jeden z nich za to ścieżki, studyuje któremi się dochodzi do teki ministeryalnej, drugi zajęty posłowaniem od lat wielu — więc młodzież się nie psuje. Zresztą, lepiej mniej zatrutej (sic) wiedzy, a więcej wiary. Ta wzrasta w istocie ale nie w siły nadprzyrodzone, tylko w karyerę. Mistrze, przestawszy wykładać, uczą dróg praktycznych do jedynej pożądanej, ubóstwianej — karyery. Profesor literatury chory znowu na rozmiękczenie mózgu, bzik, waryat. No, to nieszczęście — osobiste naturalnie, ale ten pełni obowiązki i pozwalają na to władze! Czy to złośliwość ministerstwa oświecenia? Bo chyba zmówiły się te potęgi, ażeby z Galicyi zrobić Beocyę. Docent prawa cywilnego jest zarazem adwokatem, ma liczną klientelę, niema nigdy czasu, żąda by młodzież uniwersytecka krzychodziła jak najraniej na jego wykłady. Jest on przytem syndykiem banku krajowego, agentem stańczyków i kandydktem do krzesła prezydenta miasta i rady Lwowa. Co tu godności! Kto tyle dźwiga trudno żądać, żeby się poświęcał i młodzieży. Tak te reformując się przez lat dwadzieścia samodzielnie, znakomicie już dziś zreformowane są stosunki galicyjskie.

O zdobyczach ekonomicznych niema co mówić. Skończyło się na dobrych chęciach. Nie nauczono klas pracujących żadnej z cnót, które mogą być dźwignią przemysłu. O oszczędności nie ma pojęcia mieszczanin, tak samo, jak nie pojmuje jej magnat, pan i urzędnik. Ulepszeń w przemyśle rękodzielniczym nie widać ani na jotę. Całkiem to naturalnie: gdzie przewodnikiem obskurantyzm, gdzie przedsiębiorca nic nie czyta, bo zresztą czytając najpopularniejsze rzeczy z technologii, nie zrozumie ich, gdzie się praktykuje zastarzały zwyczaj, że pan majster zarabia, ażeby żyć lub kupić kamienicę — tam nie pomogą nawoływania, a mniej jeszcze narzekania. Stan ten znajduje ukoronowanie we wniosku Wydziału krajowego, który przedstawia izbie sejmowej zniesienie szkół wydziałowych męzkich. Szkoły te miały służyć właśnie sferom mieszczańskim do elementarnego wykształcenia, do dania pojęcia o arytmetyce, geometryi, geografii i innych, potrzebnych w życiu przeciętnego obywatela świata wiadomościach, tym wszystkim, którzy nie mogąc kończyć szkół średnich, byliby o tyle praktyczni, żeby zechcieli oddać się zawodom rękodzielniczym. Szło o to, ażeby przyszły mieszczanin nie pozostawał nadal jak tabaka w rogu, a z drugiej strony, żeby z bezpłodnej, żmudnej dla wielu drogi wykształcenia humanitarnego, zawrócić ich na pole praktyczniejsze. Wniosek wydziału krajowego uzasasadniony jest małą frekwencyą tych szkół, ale pomija, że rząd centralny przyznał sejmowi krajowemu władzę zreformowania szkół wydziałowych — zreformowania według potrzeby. Powstać więc z nich mogły szkoły fachowe, rękodzielnicze, rolnicze lub handlowe. Użalały się gminy miast, które musiały utrzymywać w części ze swych funduszów te szkoły. Nie zapytano jednak, czy gminy reprezentowane przez bardzo zresztą szanownych, ale zrosłych z przestarzałemi pojęciami ojców miast czyli radnych, miały jakiekolwiek pojęcie o współczesnych, nowożytnych i potrzebach bliskiej przyszłości. Jeżeli duch czasu nie może wtargnąć na krzesła kurulskie autonomii gminnej, to powinni się przecie liczyć z nim ekonomiści najwyższej władzy autonomicznej. Jeżeli tenże duch czasu pod wielu względami co do objawów moralnych przedstawia zagadkę, to przynajmniej na niwie technicznej jawne są jego wskazówki. Państwa, narody, instytucye, jednostki żądają wyrobów pięknych, trwałych, dostarczeń szybkich i produkcyi w ogóle zastosowanej do wymagań mody. Czyliż rękodzielnik galicyjski będzie w stanie stanąć do współzawodnictwa, do pojedynku w przemyśle, jeżeli po dawnemu będzie ciemny? Duch czasu wymagałby więc raczej ustawy o przymusie szkolnym względnie do szkół wydziałowych ale nie zniesienia ich. Powiedzieć więc można, że najwyższa władza autonomiczna, wyręczając nieoświeconych, podjęła w ich zastępstwie walkę z duchem czasu. Ale kto odpokutuje, gdy przyjdzie po niewczasie zawołać: zwyciężyłeś ty, germański Herkulesie przemysłu?!

Ciekawa rzecz, jak w tej sprawie postąpi municypalność stolicy. Reprezentacya została właśnie odnowiona w dniu 29-tym stycznia. Wybory były rozpisane, hasła wydane. Ale że u nas bez polity-

W garście skiby! w garście!

Sto milionów dali na to,
Berlińskie Judasze,
By nas skusić tą zapłatą,
Wydrwić skiby nasze,
Wytumanić od nas ziemię
Złym szatańskim złotem,
I zagnieździć własne plemię
Ze szwabskim szwargotem.

Co ci drogie z ręki nie dasz,
Gdy Boga pamiętasz —
Za miliony nie na sprzedaż
Kolebka i cmentarz.
Oj nie pójdą skiby lasze
W poniewierkę zbójców —
Tu krew nasza i łzy nasze,
Kości naszych ojców.

Niech się niemcy cieszą swojem
Zrabowanem złotem, —
Niedośpiemy i niedojem!
W pracy z krwawym potem!
W głodzie, chłodzie i o zmroku!
Skuleni jak grzyby,
Nie ustąpim ani kroku —
Nie uronim skiby!

Chcą nas wygnać, lub zeszwabić, —
A niedoczekanie!...
Bo nie spodlę. — pierw nas zabić
Mogą niespodzianie.
Chcą ograbić nas z ostatka,
Wywrócić na nice,
Jak na świat zrodziła matka,
Wygnać za granicę.

Lecz jest Pan Bóg! niedozwoli
Krzywd swojego ludu,
Badźmy tylko silnej woli,
Nie załujmy trudu;
Niech się z nami co chce dzieje,
Kupą od napaści!
Hejże! Bartki i Macieje!
W garście skiby! w garście!

ki nie wiążą się nawet sprawy matryomonialne, nie udają nawet herbaty tańcujące, nie uzyskują posady choćby dyetaryuszów za 21 guldenów miesięcznie, że zresztą bez kwasu politycznego nie idzie się nawet za zwłokami, gdyby i zasłużonych na innem jakiem polu — więc oczywiście, że tak doniosła akcya jak wybory do rady miejskiej, rozkołysała umysły, zrodziła partye i frakcye polityczne. Komitetów przedwyborczych — cały legion. antagonizmów milion. Inteligencya zagniewana, kołtuny mówią: „damo sobie rady i bez inteligentów“. Dawna frakcya, znana i dalej za rogatkami Lwowa pod nazwą „Łączności i Zgody“ przeobraziła się w poczwarkę nazwaną wbrew brzmieniu poprawnemu w jakiegoś „Puchacza“ zamiast Puhacza. Ucieszna ta, jakby rzekł śp. Kochowski, poczwarka rekomenduje się jako świstek z pod prasy drukarskiej i grozi, że bronić chce do ostatniego tchnienia interesów dalekich przedmieść. Co się z niej wylęgnie, motyl czy nietoperz — zobaczymy. Tymczasem inne stronnictwa ostrzegają przed fortelami dyplomatycznemi agencyi stańczykowskiej, która ma, jak głoszą, matkobójcze zamiary przeciw demokratycznej dotychczas reprezentacyi Lwowa. Rusini krzątają się swoim ładem, żeby nielicznym, wszystkiego z 12.000 złożonym wyznawcom unii z Rzymem zapewnić we Lwowie, względnie w jego radzie miejskiej odpowiednią liczbę przedstawicieli.

KORESPONDENCYE.

Nadwórna 7. Lutego 1886 r.

Aż do rzezi, jakie pułki Mac-Mahona sprawiły Paryżanom w Maju i Czerwcu 1871 r. nie rozumiałem zgoła wyrazów, znanych w każdym podręczniku historycznym proskrypcyi Sully lub Maryusza, chociaż ich nieraz powtarzałem i chociaż z historyi byłem celującym i zdaje mi się iż ci, którzy nie widzieli tych krwawych dni, nie mogą zrozumieć ostatniej karty rzeczypospolitej rzymskiej.

Tak samo, aż do przybycia mego do Nadwórny, nie rozumiałem, zkąd powstały takie straszliwe historyczne postacie, jak Pawluk, Nalewajko, Chmielnicki z plejadą swoich rezuniów, Zeleźniak i Gonta i zrozumieć nie mogłem tej wściekłości, tej zwierzęcej żądzy krwi, tego rozbestwienia, jakiego oni złożyli tak liczne dowody.

Nadwórna wytłumaczyła mi ich pojawienie się na kartach historyi: to dumni pankowie Ukrainy ich zrodzlli. I jasno mi stanęła postać takiego sługi Koniecpolskiego, który szeregiem bezprzykładnych nadużyć, pchnął Chmielnickiego do buntu i z wiernego syna ojczyzny zrobił hajdamakę i zabójcę swojej matki!

To co zrobił Czaplicki w Czehrynie w połowie XVII. wieku, to samo praktykują przy końcu XIX wieku niektórzy oficyaliści skarbu nadworniańskiego, słudzy Boden-Credit-Anstalt w Nadwórnie i jeżeli ci ostatni nie zdołali zapalić zemsty w sercu jakiego nowego Chmiela z nad Złotej Bystrzycy, to nie jest ich winą, ale wina leży w poczciwosci tutejszego ludu, która wszystkie krzywdy z anielską znosi cierpliwością.

Alo co dalej będzie? Wszak w przyrodzie. czyto w porządku materyalnym czy moralnym, nic nie ginie. Każda czynność ludzka zła czy dobra, mniejsza o to, wywołuje dalsze lub bliższe skutki, tak samo jak wartości wstawiane w zrównanie algiebraiczne dają rozmaite wypadki. I nikt nie może stanowczo twierdzić, w obec groźnej Nemezys, czy skarb Nadwórna czynnościami swemi nie hoduje właśnie teraz jakiego nowego Krzywonosa?

Oto jeden przykład daję Ci. może jeden z tysiąca, na poparcie tego co się powiedziało. Sam osądź.“

W Maju 1882 r. kupiłem morg ogrodu od sąsiada Jakóba Gradiuka, okopałem go bruzdą przy wszystkich sąsiadach i zrobiłem kontrakt notaryalny. We dwa miesiące później stanęła wieża wiertnicza i zacząłem wiercić jamę (Nr. IV).

Niespodzianie wpadają na mój grunt oficyaliści tutejszego tak zwanego skarbu, zabierają mi kawał gruntu, zakopują kamienie, a do mnie przysyłają fagasa, abym szedł bronić swego gruntu z ludźmi, dodając, *że jeżeli przyprowadzę ludzi pietnastu, to oni przyszlą pięćdziesiąt; — jeżeli zaś ja przyprowadzę pięćdziesiąt, te oni postawią pięćset!*

Z zimną krwią odpowiedziałem na bezczelną prowokacyę, że znam w Nadwórnie jednego pana, do którego jeżeli napiszę słów parę, to on przyjdzie i was wszystkich napędzi, choćby was przyszło i pięćdziesiąt tysięcy.

Dotrzymałem słowa: w tydzień zjechała c. k. komisya sądowa, a p. Gablenz zjawił się w towarzystwie 12 czy 15 swoich świadków, vel posiepaków, którzy dufni w potęgę swego pryncypała rozpoczęli od awantury, a mianowicie okrążyli starego gazdę Jakóba Gradiuka i namawiali go do krzywoprzysięztwa i zdaje się, że go szturchali. Stary gazda bowiem zaczął skakać i krzyczyć: „Hi na was! Widstupytsia didkowy syny! Wy choczete mene namowyty do fałszywoj prysiahi?“ Pan prezez c. k. Sądu zmuszony był osobiście skoczyć na pomoc biednemu gaździe, gdyż głos jego nie mógł być słyszanym w tej chryi.

Ale na próżno czcigodny pan prezes chciał przeprowadzić badanie; na każde jego pytanie piętnaście głosów odpowiadało z p. Gablenzem na czele unisono, pomimo próśb i nakazów przewodniczącego c. k. komisyi.

Nic nie mogąc zrozumieć na tym jarmarku, pan prezes zabrawszy mapy, wziąwszy dwóch czy trzech gazdów odszedł o jakie 60—80 kroków, aby mógł się zorjentować w parcelach zdala od p. Gablenza i jego świadków. I ja też szedłem za panem prezesem, gdy nagle z tyłu słyszę basowy glos pana Gablenza: *„To ja kupiłem ten grunt, ale wierząc w uczciwość ludzką nie odgraniczyłem i nie zakopałem kamienie, a pan Petion skorzystał z tego i drugi raz podmówiwszy chłopa, go kupił!“* Posiepaki zaś jego *przysięgali się na rany Chrystusa, że grunt był kupiony, że kontrakt notaryalny był zrobiony, że oni byli na nim podpisani, tylko że gdzieś zaginął“!*

Dłużej wytrzymać nie mogłem! Jak tygrys raniony skoczyłem do p. Gablenza i przyłożywszy mu pięść blisko nosa, krzyknąłem tonem komendanta plutonu: *„Panie Gablenz! Pan łżesz! Pan nie kupiłeś ten grunt, ale pan go zrabowałeś!“*

Dalszej awanturze przeszkodził p. prezes, który z całą powagą rzekł, chwyciwszy mnie za obie ręce: *„Jak panu kto konia ukradnie, to pan nie masz prawa powiedzieć to jest złodziej, ale należy panu powiedzieć, że to jest ten, który mnie konia pokryjomu ze stajni wyprowadził.“*

Odtąd zapanowała cisza: posiepaki gablencowscy rozproszyli się na wszystkie strony, a ich dowódca usiadł pod starą jabłonią, blady jak trup i machinalnie bił palicą ziemię!

W tydzień potem w sali sądowej tenże pan Gablenz, jak z procy przyleciał do mnie, przed rozpoczęciem rozprawy, chwycił mnie za ręce i miluchnym głosem rzekł: *Panie Petion! nie znałem pana ani sprawy, — w błąd byłem wprowadzony i za co pana najserdeczniej przepraszam. Zwrócę panu koszta wszystkie, każę wykopać kamienie, tylko bądź mi pan przyjacielem i nie włóczmy się po sądach, a panu prezesowi powiemy, że nas nie ma na terminie.“*

Pozbawiasz mniepan, odpowiedziałem — przyjemności wsadzenia pół tuzina pańskich posiepaków do kryminału, ale niechże i tak będzie. Nic nie pragnę jak zgody, daję panu moją rękę i żałować będę, jeżeli będę kiedykolwiek zmuszony obrócić ją przeciwko panu. Chwycił mnie wówczas p. Gablenz pod rękę i obaj, jak dwa bracia sijamscy, ku wielkiemu zdziwieniu czcigodnego Prezesa, stanęliśmy przed nim. Tu oświadczył p. Gablenz w swojem i moim imieniu, *ze nas niema na terminie.*

Było to przy końcu lipca 1882 r. i do tej pory szanowny p. Gablenz nie zwrócił mi, ani kosztów komisyi, ani wykopał kamieni, ale za to przykrość za przykrością starał się wyrządzać.

W młodości mojej udało mi się ujeździć parę dzikich tabunów łagodnością i taktem. Sądziłem, że tą metodą uda mi się poskromić Pana Gablenza i zrobić go swoim przyjacielem i przez trzy lata znosiłem cierpliwie aroganckie jego wybryki. Nie udało mi się, więc chwyciłem się środka innego.

Opis tego skandalu załączam nie dla obrony własnej, ale żeby wykazać, jakich to bezprawiów dopuszcza się ten sługa wiedeńskiego banku. Wielki poeta napróżno opiewał ostatni zajazd w Polsce; p. Gablenz ich zrobił nieskończoną ilość, i jedne z nich kryją się w pyle aktów sądowych, ale daleko większa ilość przyschła na grzbietach chłopskich, bo gdzież tym biedakom wytaczać pozwy i składać pieniądze na komisyę?

Ale skandal opisany nie jest całkowity: zapytany gazda Jakób Gradiuk przezemnie co miały znaczyć słowa pana Gablenza na komisyi wyrzeczone, że on ten grunt kupił wpierw, tak odpowiedział. *„Uże mynuło dwa roki (zatem w 1880) jak doświta wpało do mene dwoch skarbowych, prynesły na rukach czotyry cechły, skazały szczo najszły ich na moim hrunti i zahrabyły meni 25 łoktiw sukna. W tyżdeń pryszły do mene inny lude skarbowy i skazały: skarb znow widdaść sukno, ale dajte jemu kawałoczok gruntu pid jednu jamu (na jeden szyb pod naftę). Ne choczu; skazałem. Ja waszu cechłu ne braw, a wy meni sukno zrabowane widdajte. W tyżdeń znowu pryszły posły i obiciały szczo skarb widaść sukno i w dodatku dadut firu opiłok, ale ja ich wysłał z Bohom. Czerez sziść nedil tak do mene prychodyły, a szczo raz to bilsze dawały. Pryszło do toho szczo meni dawały za jednu jamu szyść fir opiłok, dwanajciat klociw i piatku hriszmy. Ja im wse kazau widdajte moje sukno zahrabłene, bo ja waszu cehłu ne braw, a wam hruntu pid jamu ne dam. Aż raz prybih do mene skarbowyj i każe: „idit żywo Jakowe, was verwalter chocze baczyty“. Ja piszow i zastaw verwaltera na moim horodi, a zdala stało czyrech ludej i szczoś tam w potiku robyły. A verwalter meni skazaw: wy durnyj gazdo, wy może dumajete szczo skarb wam chocze zabraty ciłyj horod. Ja wam pokażu jaki kawałoczok skarb wam zabere i dał znak ludiam rukoju, a ony pryszły i stały kopały jamu. Ja staw prosyty pana verwaltera sczob ne kopały na moim hrunti, bo ja ne prodaju, a win meni skazaw, szczo ja ne kopaju, tilki choczu tobi pokazaty kilko skarb wam zabere. Ja wtodi naczaw kryczaty i widobraw od jednoho robitnyka czahan i nahonyłem wsich. Ne hniwajtesia, meni skazaw verwalter, to nyczeho; chodit lipsze do mene to widdam wam sukno. I widdano meni sukno, a ja piszow do domu za wodu i mowy pośli żadnoj ne buło o jami.“*

Czy tak było, jak Jakób Gradiuk opowiedział, nie wiem. Żyje on jednak i może powtórzyć to co mnie odpowiedział. *Eustachy Petion.*

A więc znowu klika górą!

Czytelnicy *Strażnicy poskiej* mają w żywej pamięci sprawę księdza Adama Kopycińskiego, posła na Sejm krajowy, jaką mu wytoczył klub „centrum“. O sprawie tej jakkolwiek milczały dzienniki galicyjskie i zaledwie półgębkiem wspomniały o niej *Nowa Reforma* i *Kuryer lwowski*, znaną jednak jest w całym kraju i została należycie przez opinię publiczną osądzoną. Ks. Adam Kopyciński wyszedł z tej nieszlachetnej napaści czysty i niepokalany, tak, jak nietylko kapłan, ale każdy Polak wychodzić z takich spraw powinien. Klika ufna w swoje wpływy nie uważała się ani na chwilę za pobitą i postanowiła za jakąbądź cenę usunąć ks. Kopycińskiego z Rady Państwa.

Gdy w ostatnim Nrze donosiliśmy o moralnym wyroku, jaki z powodu tej sprawy wydał zwierzchnik duchowny ks. biskup Łobos, mianując ks. Adama Kopycińskiego kanonikiem, przyklasnęliśmy ze szczerą radością i uznaniem dla ks. biskupa, że w tak odpowiedni i szlachetny sposób dał odprawę tym, którzy kapłana katolickiego, Polaka, ośmielili się oskarzać o najohydniejsze czyny.

Niestety radość ta nasza była zbyt krótką, bo widocznie nie przeznaczonem było tak szanownemu i godnemu kapłanowi być przedstawicielem oraz obrońcą naszego duchowieństwa w Radzie państwa.

Oto na posiedzeniu Koła polskiego dnia 29. Stycznia postawił rezolucyą ks. Chotkowski, mocą której wzywa się rząd, aby podwyższył płacę profesorom teologii przy seminaryach biskupich, udzielił tymże pięcioletnie dodatki i stosowną do płacy pensyą.

Rezolucyę ową umotywował ks. Kopyciński przechodząc historycznie owe fazy, przez jakie w Austryi przechodziły płace profesorów teologii i nauczycieli szkół średnich i ludowych.

Sreśliwszy doniosłość seminaryów, konieczność stanu duchownego, trudność w dostąpieniu stopnia Doktora Teologii i profesora przedmiotu, jaki wykłada, i wymogi, jakich stanowisko profesora wymaga, które w niczem się nie różni od profesorów wszechnicy tak co do głębokości i objętości wiedzy, jak i zrozumiałego a praktycznego przedstawienia przedmiotu, naznaczył, iż gdy od roku 1773 do r. 1851. profesotów teologii płaca przewyższała płace innych nauczycieli szkół średnich, to od r. 1851. płace wszystkim podwyższono, pięciolecia przyznano i emeryturę uregulowano z wyjątkiem profesorów przy seminaryach biskupich, których płaca obecnie jest śmiesznie mała i ubliżająca nawet godności samego państwa. Po nim zabrał głos Czerkawski i zaznaczył, iż jak długo zasiada w komisyi budżetowej, ciągle wpływały domagania się profesorów podwyższenia ich płacy, ale rząd rezolucyj komisyi nigdy nie uwzględniał, i że słuszną a sprawiedliwą jest rzeczą, aby państwo raz tę anomalię usunęło. Tak samo motywował ks. Chotkowski i Ruczka, a zaś p. Bobrzyński wynurzył życzenie, iż sprawę tę najłatwiej w ten sposób uregulować, aby znieść seminarya, przez co i frekwencya na wszechnicy się wzmoże. To życzenie zbili dosadnie ks. Chotkowski i Kopyciński. Skoro poruszono sprawę kompetencyi rady państwa, jaką podniósł p. Chrzanowski, wybrano deputacyą, do której weszli ks. Chotkowski, Kopyciński i Ruczka, by ta zapytała ministra oświecenia, co zamyśla z tą sprawą uczynić; i dopiero po otrzymaniu odpowiedzi dalsze kroki uczynić.

W poniedziałek dnia 1. Lutego zainterpelowano ministra Gautscha, a tenże przyznawszy słuszność żądań, oświadczył, iż poleci urzędnikom zbadać sprawę i rychło ją załatwi w tym kierunku, by początkowo zrównać profesorów przy seminaryach biskupich z nauczycielami szkół średnich.

Ks. Kopyciński udowodnił tem umotywowaniem rezolucyi, że dorosł rzeczywiście stanowisku delegata w Radzie państwa.

Lecz cóż się dzieje już wkrótce? Oto dnia 3. Lutego znowu na posiedzeniu Koła Polskiego, przewodniczęcy przeczytał następujące pismo:

Wysokie Koło!

Po naradzie z Najprzew. ks. Ignacym Łobosiem, biskupem tarnowskim, świeżo do Tarnowa przybyłym, poznawszy Jego myśl, iż byłoby mu milej, gdybym się wyłącznie poświęcił pracy mojej na katedrze teologicznej, w radzie konsystorza biskupiego i około stowarzyszenia rękodzielników chrześcijańskich „Gwiazda Tarnowska", oświadczyłem Mu moją gotowość złożenia mandatu poselskiego do Rady państwa. Najprzew. ks. Biskup przyjął moje oświadczenie z ojcowskiem rozrzewnieniem, bardzo je pochwalił i do tego kroku zachęcił.

W skutek tego mam zaszczyt oświadczyć Wysokiemu Kołu, że wnoszę do Prezydyum Wysokiej Izby rezygnacyę z mojego mandatu poselskiego.

Przy tej sposobności mam sobie za obowiązek podziękować Wysokiemu Kołu, za uprzejme ze mną postępowanie i za traktowanie mnie jako posła, który nie z ambicyi, ale z woli wyborców, a mianowicie wpływowych duchownych, jak świadczy ich protest w dziennikach głoszony, zniewolony byłem przyjąć ich mandat do Rady państwa.

Raczą Dostojni Panowie Koledzy przyjąć to moje oświadczenie i zachować mnie w miłej pamięci.

Z poważaniem

Ks. Dr. Adam Kopyciński.

My umiemy wprawdzie ocenić i uszanować tę karność kapłańską, która nie miała odwagi sprzeciwienia się swemu biskupowi; ale wiadomem nam jest i to, że ks. Adam Kopyciński nie myślał sam przedtem o ustąpieniu z krzesła delegata, chociażby jedynie dlatego, aby nie zajęła go osobistość taka, która tam zasiadać nie powinna. Wiemy i o tem, że jeszcze podczas sesyi sejmowej we Lwowie udawało się kilka gron obywateli poważnych i patryotów do szanownego posła, dodając otuchy i prosząc, aby ani z Sejmu ani z Rady państwa nie ustępował, a ks. Kopyciński przyrzekł, że wytrwa na stanowisku i uczyni wszystko, co będzie w jego mocy. Jaką cenną siłą jest taki reprezentant kraju, mianowicie w delegacyi do Rady państwa, którego ani czapką ani papką nikt nie nagnie do osobistych planów, to zrozumie każdy obywatel, któremu zależy rzeczywiście na dobru kraju. Że zaś tak niezłomnego charakteru i tak gorąco odczuwającego naszą dolę jak on, nie wielu możemy liczyć pomiędzy naszymi wybrańcami, to stanie na straży przez tego kapłana było bardzo pożądane.

Inaczej jednak zapatruje się na to ks. biskup Łobos, który uważał za właściwe odwołać ks. Adama Kopycińskiego z Wiednia i tym sposobem ułatwić znowu dostanie się na krzesło delegata panu J a n o w i hr. S t a d n i c k i e m u.

Rozpisywać się o tym kandydacie, którego klika znowu siłą pary nawet postanowiła przeforsować, uważamy za zbyteczne. Będzie to zaiste wielki tryumf dla kliki, opartej na szacherkach politycznego handlu dla własnych interesow.

Nie wątpimy też ani chwili, że ks. biskup Łobos dozna szerokiej wdzięczności w tych sferach, które z taką troskliwością wziął pod swą opiekę.

Gdyby w ziemi tarnowskiej był chociaż jaki taki zarodek patryotycznego poczucia obywatelskiego, to pomimo, że duchowieństwo tamtejsze wobec takiego wyroku ks. biskupa Łobosa nie będzie miało odwagi postawienia powtórnie kandydatury ks. Adama Kopycińskiego, to powinni się sprawą tą zająć osoby z po za koła duchownego. Od księży w ziemi tarnowskiej i odnośnym okręgu wyborczym ma jednak kraj prawo żądać, że a n i j e d e n k a p ł a n nie przyłoży ręki do zdobywania głosów dla p. Jana hr. Stadnickiego. Duchowieństwo nie zechce przecież do policzkowania kraju się przyczynić. Niech to pozostawi klice i tym, co mają odwagę iść z nią ręka w rękę.

---

†

Ś. p. Adam Dominik Bartoszewicz

zmarł nagle we Lwowie, dnia 11. b. m. na anewryzm serca.

S. p. Adam urodził się na Litwie w Biersztanach nad Niemnem. Ojciec jego był właścicielem dóbr tamże. Adam ukończywszy szkoły średnie w Wilnie uczęszczał na uniwersytet w Moskwie.

Na hasło boju o niepodległość w r. 1863. podążył do szeregów powstańczych, podążył do obozu w Ojcowie, gdzie wstąpił do Zuawów Rochebreura i walczył pod Miechowem. Następnie udało mu się przedrzeć przez Prusy na Litwę w okolice Trok i tam aż do końca powstania walczył w oddziałach. A jak wiadomo, bojowanie na Litwie było straszne i potrzeba było niezwykłej siły ducha aby wytrwać. Walcząc i znosząc trudy aż do końca.

W roku 1864. zmuszony był udać się na tułactwo i osiadł w Paryżu. Przybył, ogołocony z wszelkich środków do życia. Porozumienie z domem było wprost niemożebne. O byt codzienny trzeba było walczyć takiemu tułaczowi, gdy nawet wyższa inteligencya nie dawała środków do utrzymania. Znajdując się w takich warunkach, ś. p. Adam nie zawahał się ani chwili, lecz idąc za przykładem kilku starszych towarzyszy bojowników, podjął się pracy — lampiarza w Towarzystwie oświetlania ulic i znalazł się w towarzystwie zaszczytnie znanych kolegów w powstaniu, bo nawet wyższych oficerów. Był to trudny kawałek chleba, a za dwa franki na dobę trzeba się było dobrze uwijać i pracować. W ten sposób chronili się nasi dzielni tułacze chwilowo od głodu i nędzy. W wolnych chwilach pracował pilnie nad językiem francuskim, a porzuciwszy lampiarstwo, wstąpił do drukarni, gdzie dwa lata prawdziwie pracował z litewską pilnością, a oprócz tego kształcił się o ile mu tylko środki na to pozwalały, uczęszczając na wykłady publiczne akademickie. Z profesorem G e d r o j c i e m wydawał w Paryżu pismo miesięczne *Przyszłość.* W czasie tym ożenił się z córką tułacza. Nareszcie mógł był już jak to mówią uścielić sobie wygodne gniazdko, lecz tęsknota za krajem zwyciężyła i przybył do Galicyi w r. 1868. We Lwowie objął wydawnictwo *Dziennika literackiego*, następnie rozpoczął wydawnictwo biblioteki *Mrówki*, którego wyszło 236 tomików.

Na wydawnictwo jedyne dotąd w Galicyi, nie mamy innego nazwiska, jak, że było w wysokim stopniu patryotyczne, bo w niższych warstwach społecznych i pomiędzy ludem nawet, oddziaływa dotąd z najlepszym skutkiem, zapoznając nawet maluczkich ze skarbami naszej literatury i z najważniejszymi wypadkami dziejowymi. Praca ta, wymagająca niemalego nakładu, nie była bynajmniej wdzięczna dla naszego prawdziwie—księgarza p o l s k i e g o, jeżeli się zważy, że tomik „Mrówki" kosztował 5, 10, do 20 ct. A i tego nam nie wolno pominąć, że sfery, które najwięcej miały obowiązku popierania tego wydawnictwa, zachowywały się z dziwną apatyą.

Niemożna także pominąć „Spiewnika polskiego", za którego wydawnictwo należy się zmarłemu uznanie.

Z innych wydawnictw księgarni polskiej zasługuje na uwagę „Historya powszechna Schlossera", „Historya powstania 1863-1864 roku, „Dziejów Roepla" i innych.

S. p. Adam Bartoszewicz jakkolwiek nie był przedtem fachowym księgarzem, stał się nim jednak w poczuciu ścisłem księgarza Polaka i nigdy się nie solidaryzował nawet dla widocznych zysków z księgarzami-handlarzami, a w dodatku miał na tyle odwagi walczenia przeciw takiemu nie polskiemu, nie patryotycznemu handlarstwu.

Cichy i skromnego żywota, szedł wytrwale naprzód, a w danych razach napaści umiał stawić z godnością czoło.

Zapewne niejeden z naszych szan. czytelników ma jeszcze w żywej pamięci, jakich środków używała mianowicie jedna firma lwowska, aby tylko przeszkadzać tej patryotycznej pracy. S. p. Adam i w tej walce szlachetnie zwyciężał, piętnując blagę, osłaniającą się wątpliwej wartości patryotnictwem. Ostatniem jego wydawnictwem są kompletne dzieła Mickiewicza, w c z t e r e c h t o m a c h, a wydane z troskliwością typograficzną na pięknym, trwałym papierze, za cenę 1 złr. 60 ct. — Dzieła Mickiewicza lub inne skarby literatury naszej w takiem wydaniu, takich rozmiarów i za taką cenę, nie pojawiły się dotąd na półkach księgarskich, lecz gdyby ś. p. Adam Bartoszewicz nic więcej nie był wydał, jak te 236 tomików „Mrówki", to już tem samem ma prawo do wyrzeczenia o nim w pośmiertnem słowie, że się dobrze ojczyźnie zasłużył. Że księgarnia polska była jedną z najpoważniejszych firm polskich, na to się zapewne zechcą wszyscy zgodzić.

Stosunki jego rodzinne i osobiste tak się ukształtowały, iż miał zamiar oddać księgarnię w uczciwe ręce, a sam ulżyć tęsknocie duszy i powrócić w rodzinne strony nad ukochany Niemen. I gdy te marzenia miały się już nie długo urzeczywistnić, Bóg wszechmośny inaczej rozrządził — ś. p. Adam zakończył żywot prawie niespodzianie, wskutek długotrwającego cierpienia, a które zwalczał jedynie siłą woli.

Wiadomość o skonie jego wywołała ogólny żal i współczucie dla pozostałej wdowy, bo śmierć ś. p. Adama Bartoszewicza wyrywa z szeregu walki dzielnego pioniera. — Że wieść ta pokryje żałobą i serca Litwinów nadniemeńskich, nie można ani chwili wątpić. A my kończymy wspomnienie pośmiertne: *Cześć żołnierzowi polskiemu, cześć dzielnemu pionierowi w pracach narodowych!*

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Koło literacko-artystyczne we Lwowie.

Przed kilku dniami zarząd Koła literacko-artystycznego we Lwowie rozesłał n a g l e aż 100 zaproszeń do różnych członków na nadzwyczajne posiedzenie. Pomimo różnych przeszkód i niewyspania karnawałowego, spieszył kto mógł w tem przekonaniu, że sprawa musi być nader ważną i kto wie, jakiej doniosłości. W lokalu Koła zgromadziło się przeszło 50 członków tegoż, poczem stanęło przed zgromadzonymi trzech mężów: Dr. Rutowski prezes Koła, Adolf Abrahamowicz, główny aranżer tańców karnawałowych na Galicyę i p. Malinowski, prezes kasyna miejskiego. W wymownych słowach wnieśli na tem zgromadzeniu nagłą nader ważną sprawę, dotyczącą „w i e l k i c h z a s ł u g" dla sceny polskiej recte dla lwowskiej opery „z n a k o m i t e j" artystki primadonny, pani doktorowej Arklowej. Federacyjno-asymilacyjny ten komitet motywował, że tu otwiera się z poczucia obowiązku pole, aby Koło literacko-artystyczne jako takie wzięło inicyatywę i godnie uczciło zasługi wielkiej artystki (a według innych wersyj i patryotki; bo że pani Arklowa używa w domu tylko języka germańskiego, to w Kołach literacko-artystycznych powinno się przechodzić nad tem do porządku dziennego).

Wniosek federacyjno-asymilacyjnego komitetu sukkursowany był przez poważny zastęp zespolonych duchem patryotycznym braci mojżeszowego wyznania, których wpływ na Koło bywa często stanowczy. Z nimi złączyło się również grono przyjaciół politycznych. Wniosek byłby się niezawodnie świetnie udał, gdyby nie niesforność ducha opozycyjnego, który objawił pan doktr. Tadeusz Szydłowski, stawiając się po prostu na stanowisku warchoła lwowskiego. Zaczął wywodzić jeremiady, przedstawiając obecną chwilę w prawdziwie karawanowych kolorach, gadając niestworzone rzeczy o doli naszych jakichśtam braci w Wielkopolsce, na Szląsku, Prusach zachodnich i na unickiej ziemi w Lublinie, wobec których nawet takie zasługi dla sceny polskiej jak pani Arklowej, przez $1^1/_2$ roku we Lwowie powinny ustąpić co najmniej na drugi plan, i na taki cel nie powinny być eksploatowane kieszenie członków Koła literacko-artystycznego. Co więcej, mówca opozycyjny gdy spostrzegł w zastępie szermierzy komitetu federacyjno-asymilacyjnego niezadowolenie, miał zacząć mówić wyraźniej, posuwając pojęcie swoje aż na sam brzeg możności wyrażeń w takiem ciele, jak Koło artystyczno-literackie. I któż się mógł spodziewać, że taka „warcholska" opozycya młodego adwokata wobec osiwiałego na polu pracy p. Malinowskiego, wobec takich znakomitości jak p. Dr. Rutowski i p. Adolf Abrahamowicz, odniesie zwycięstwo, a przynajmniej rozbije zapatrywania, kończące się ostatecznem orzeczeniem większości, że wszelka akcya, uwydatniająca doniosłość zasług pani Arklowej dla kraju i narodu, pozostawia się prywatnemu komitetowi federacyjnemu i jego działalności poza obrębem Koła. Przy końcu przewodniczący zebraniu p. Hr. Henryk Skarbek objawił również swoje zapatrywanie, a mianowicie: że onby się zdecydował na owacyę, a nawet przyłożył do niej ręki, ale — dla p. Jareckiego, twórcy kilku oper polskich, mianowicie zaś ostatniej — „Jadwigi".

P. hrabia rządzi się również widocznie dziwnemi zapatrywaniami, bo jakżeż można dawać pierwszeństwo przed p. doktorową Arklową — panu Jareckiemu?

Komitet federacyjno-asymilacyjny był naturalnie zgorszony takim brakiem zrozumienia wyższej idei; ale nie tracąc fantazyi, zabrał się już prywatnie do praktycznej akcyi i ta się tak powiodła, że grono jego politycznych przyjaciół złożyło mu natychmiast aż 115 złr. (podobno na srebrny laurowy wieniec dla p. Arklowej, który ma być ozdobiony narodowemi barwami).

W poufnej zaś pogawędce p. dr. Rutowski, prezes Koła literacko-artystycznego, rozgoryczony i zgorszony taką opozycyą członków Koła, miał wyrzec; że się na innej drodze postara, aby i Koło artystyczno literackie, którego o n j e s t p r e z e s e m, złożyło hołd uznania i wdzięczności pani Arklowej.

Rzeczywiście, znakomity to i dzielny prezes i warto mu dać buzi!

W stolicy kraju.

W zeszłym tygodniu doniosły dzienniki lwowskie w kronikach codziennych, — „że jakaś nieszczęśliwa i jeszcze młoda kobieta w zamiarze samobójczym skoczyła z ganku III. piętra pod Nr. 26. w Rynku, i wypadkiem tylko zaczepiwszy się sukniami o ganek II. piętra, nie zabiła się na miejscu, lecz tylko silnie potłukła i złamała nogę podwójnie“.

Takie były lakoniczne chwilowe doniesienia; lecz redakcya *Kurjera lwowskiego* dowiedziała się daleko ciekawszych rzeczy, a mianowicie, że tą nięszczęśliwą kobietą była francuzka panna E. R. z zawodu guwernantka, która zachorowawszy w Tłumaczu, przybyła do lwowskiego szpitala dla kuracyi, a po wyzdrowieniu, gdy nie mogła opłacić kosztów szpitala, zabrano ją do aresztów miejskich i tam osadzono wraz z 40 kobietami, przedstawiającemi społeczeństwo w strasznych obrazach upadku i nędzy.

Panna R. dostawszy się w takie miejsce, była bliską pomięszania zmysłów; przerażona i przejęta grozą, zdołała zaledwie tyle uprosić swoich dozorców, że jej pozwolono iść pod dozorem strażnika miejskiego do kantoru stręczeń p. Birklego w Rynku, aby się tenże postarał, by w jakikolwiek sposób z piekła aresztów miejskich się wydostała. Na jej nieszczęście p. Birklego nie było w domu, a zrozpaczona kobieta nie widząc żadnego ratunku i gdy ją dozorca miał znowu odprowadzić do aresztów miejskich, ta nieszczęśliwa wolała śmierć okropną, aniżeli nazad powrócić. Nie zwlekając też ani chwili, weszła na III. piętro i tam z ganku skoczyła.

Kto tylko zna stosunki aresztów miejskich we Lwowie i bezwzględnego postępowania odnośnego departamentu w magistracie, którym zarządza p. Leopold Strohner, radca magistratu, ten pojmie i zrozumie, czego się może dopuścić ktośkolwiek, kto jeszcze nie upadł ostatecznie moralnie.

Obowiązkiem naszym jest, zaznaczyć przedewszystkiem, że p. radca Leopold Strohner jestto ten sam funkcyonaryusz magistratu we Lwowie, który przedtem stał na czele Izby egzekucyjnej i pod którego zwierzchnictwem miały miejsce znane defraudacye. Była to znów innego rodzaju otchłań i nora, która się upamiętniła na długo w kronikach magistratu lwowskiego i w kieszeniach obywateli. Że p. L. Strohner dawał wiele powodów do niezadowolenia obywateli miasta, moglibyśmy tu cały szereg faktów przytoczyć. Ale jest prawdą, że funkcyonaryusz ten ani w życiu prywatnem ani urzędowem nie odpowiadał zadaniu. Pomimo to przeniesiono go tylko do innego oddziału, czyli do szupasowego departamentu, a o aresztach miejskich przy ulicy Gródeckiej możnaby pisać śmiało „Tajemnice Lwowa“.

Brutalna bezwzględność, brak wszelkiego najprostszego ludzkiego poczucia, a obcego przynajmniej we Lwowie we wszystkich innych aresztach i kryminalnych więzieniach, które w stosunku do aresztów miejskich są jakby niebem dla różnych nędzarzy — nie da się opisać. — W aresztach policyjnych, sądowych, przy ulicy Jagiellońskiej, gdzie po kilku set aresztantów obojga płci naraz jest umieszczonych, tam zarządcy tychże i dozorcy, od których to w szczególności zależy, nie powodują się tak bezwzględnem sumarycznem postępowaniem, a baczą i umieją rozróżnić przyprowadzonych aresztantów obojga płci. Jeżeli oko zarządcy aresztów dopatrzy osobistości, o której może twierdzić, że ta nie należy do ostatecznie upadłych, to mieści ją w oddziale, do którego wpuszcza tylko przyzwoitszych, chociaż powierzchownie. A gdyby tak p. Żuk, zarządca aresztów sądowych przy ulicy Jagiellońskiej był przeczytał, że przyprowadzona kobieta jest guwernantką, jakto kartka szpitalna do aresztów miejskich opiewała, byłby jej niezawodnie nie rzucił na pastwę pomiędzy ostatnie wyrzutki społeczeństwa, tem więcej, że to nie była zbrodniarka ani przestępczyni, ale kobieta, która chwilowo nie mogła opłacić kosztów szpitalnych w kwocie 16 zł. 80 ct. i która dobrowolnie a nie przymusowo, szukała tam pomocy lekarskiej.

Postępek, jakiego się tam dopuszczono, nie ma na niego nazwiska; a tem śmielej to mówimy, że jestto tylko jeden z licznych obrazków w aresztach miejskich i procedury postępowania p, Leopolda Strohnera. Że zaś nie zwykliśmy pisać frazesami, przytoczymy choćiż kilka przykładów: I tak: Pamiętną jest jeszcze publiczności lwowskiej sprawa żydówki, o której dzienniki donosiły nie zbyt dawno. Była to kobieta nieuleczalna, a więc odesłano ją ze szpitala do aresztów miejskich. Tam postąpiono sobie nader dogodnie — bo wsadzono ją do tak zw. „kazienki“. A wiecie Szan. Czytelnicy co to oznacza taka „kazienka?“ Jestto ciemnica, zwykle rodzaj piwnicy ciemnej, zimnej, bo nie opalonej, pełnej wilgoci i zgnilizny. Jestto rzeczywiście straszna cela więzienna; tak straszna, że nawet starzy wytrawni zbrodniarze drżą przed nią. Taka kazienka jest i w aresztach sądowych przy ulicy Jagiellońskiej, do której sadzani bywaią aresztanci, którzy dopuszczają się nadzwyczajnych wybryków, gwałtów lub niemoralności, lecz zarządca aresztów nie odważyłby się sam nikogo tam wsadzić, gdyż na to musi być poprzednio uchwała sądowa, a która skazuje winowajców na kilka, kilkanaście godzin, lub najwyżej na dobę, po poprzednich oględzinach lekarskich. Sądy karne są jednak tak oględne w zastósowaniu tego rodzaju kary, że ledwie raz w rok dostaje się któryś aresztant do tej kazienki.

Inaczej jednakowoż dzieje się w aresztach miejskich, jeżeli wrzucono do kazienki nieuleczalną żydówkę, która tam wprawdzie niedługo leżała, bo już następnego dnia znaleziono ją nieżywą, skostniałą. Odesłana, aby została pochowaną, do szpitala żydowskiego, odżyła jeszcze na kilka godzin.

A teraz przypatrzmy się procedurze badania przynależności do gminy.

Oto pewien austryacki obywatel umarł w Kijowie i pozostawił dwie córki sieroty. Te wyuczywszy się szyć i krawieczczyzny, miały małą pracownię, która im dawała możność utrzymania się. Pracowały dłuższe lata, bo już dzisiaj nie są młode. Nareszcie zaszła jakaś kolizya z władzami rosyjskiemi z powodu wyznania katolickiego.

Odstawione szupasem do Galicyi, udały się do Policyi o paszporta, których im nie udzielono i odesłano do magistratu w celu zbadania przynależności. Otóż panny Patkiewiczówny trzymane są w aresztach miejskich **rok drugi** i dotychczas departament szupasnictwa pod komendą p. Leopolda Strohnera nie umiał czy też nie miał czasu załatwić ich sprawy.

Gdy areszta miejskie można uważać za ciężkie więzienie, w których tylko zbrodniarzy za wyrokami możnaby latami przytrzymywać, kto skazał i jakiem prawem te dwie nieszczęśliwe kobiety na tę katorgę?

Tu byłoby najwłaściwszem, aby c. k. Prokuratorya państwa raczyła zbadać powód i prawność więzienia tych dwóch nieszczęśliwych kobiet.

Ciekawem byłoby również zbadanie, jak też spełnia swe obowiązki zarządca aresztów miejskich p. Wełeszczuk, który pobierając 600 zł. pensyi rocznej, pomieszkanie, opał, remuneracye — pełni dodatkowy obowiązek sekwestratora aż czternastu realności?

Czy wobec tych dwóch urzędów ma na tyle czasu, aby chociaż jednemu odpowiedzieć?

Że panna R. nie należała do kategoryi upadłych istot i sumarycznego postępowania, najlepszym dowodem, że gdy obecnie leży w szpitalu głównym, nadszedł list od jej poprzednich chlebodawców, którzy oświadczają, że jak tylko wyzdrowieje, oczekują ją i powierzają dalsze kształcenie dziatek.

Byłoby do życzenia, aby Jaśnie Wielmożny Prezydent miasta postąpił wobec danych smutnych wypadków z największą energią, polecił szczegółowe zbadanie stosunków aresztów miejskich, i przeprowadził surowe śledztwo z naczelnikiem biura szupaśnictwa p. Leopoldem Strohnerem. Głos publiczny, głos całego miasta nieomal twierdzi, że p. L Strohner nie jest nadal możebny w magistracie, — powinien być uwzględniony, a następnie reforma w aresztach miejskich bezzwłocznie przeprowadzoną.

Sprawdzenie nadużyć w aresztach miejskich.

Interpelacye czynione prezydyum magistratu na posiedzeniu Rady miasta dnia 13. b. m. spowodowały redakcyę naszą, po poproszeniu jednego z pp. radnych do udania się z nim dnia 14. do aresztów miejskich i sprawdzenia co następuje:

Jakkolwiek p. radny W. zapytał dyżurnego kaprala o p. zarządcę aresztów i ten powiedział: „że jest w swojem mieszkaniu“, odpowiedziano następnie, że go niema. Później okazało się, że był.

Na żądanie p. W. przedstawiono izraelitę — *Mendla Gottlieba*, który opowiedział:

„Mieszkam we Lwowie od lat 30, jestem żonaty, ojcem trojga dzieci, a z zawodu furmanem dorozkarskim. Mam z żoną i dziećmi stałe pomieszkanie przy ulicy Szpitalnej pod L. 28. Przed dziesięciu tygodniami, zostałem aresztowany na ulicy z polecenia p. komisarza policyi Bleima i tu odstawiony. Zgłaszał się po mnie mój chlebodawca właściciel kamienicy, chcąc za mnie poręczyć. aby mię wypuszczono, lecz na to nie chciano zezwolić“. Na zapytanie, czy był protokolarnie przesłuchiwany lub badany i czy wie za co siedzi, odpowiedział:

„Tak długo jak siedzę tu, to jest dziesięć tygodni, nie byłem protokolarnie przesłuchiwany, ani badany. Tylko gdy mię przyprowadzono, p. zarządca wpisał mię w książkę i dowiedziałem się że jestem aresztowany, wrzekomo za włóczęgostwo“. Nie wchodzimy w rodzaj i przyczynę winy, za jaką Mendel Gottlieb siedzi w aresztach; — ale konstatujemy fakt, że w państwie konstytucyjnem może ktoś być uwięzionym, i przez dziesięć tygodni nie poddano go ani ustnemu ani protokolarnemu śledztwu.

Następnie przyprowadził kapral na strażnicę kobietę liczącą 50 lat, przedstawiającą litość wzbudzającą nędzę. Ubranie zupełnie zużyte, nogi poobwijane w stare jakieś chustki i szmaty, drżącą od zimna. W fizyognomii malowały się naprzemian jakaś obawa, strach — i rozpacz.

Lekarz każdy wyrzekłby, że to uosobienie — tak zwanego „charłactwa“, spowodowanego długą nędzą.

Potrzeba było niezwykłej łagodności, przedstawień, przekonań, że obecni nie mają na myśli krzywdy, lub złego zamiaru względem niej, ale przeciwnie pomoc bratnią, aby ją zmusić do opowiedzenia doli.

Gdyśmy ją nareszcie uspokoili, opowiedziała co następuje:

„Ojciec mój Stanisław Patkiewicz, urodził się i mieszkał w Jarosławiu, był z zawodu fryzyerem. Z Jarosławia przeniósł się z żoną za passportem do Berdyczowa, gdzie się urodziłam; na imię mi Emilia, a siostrzemej młodszej Franciszka, która liczy 46 lat.

Ojciec odnawiał zawsze passport, potem przenieśliśmy się do Kijowa. Rodzice umarli, mieszkałam tam z siostrą lat 18, utrzymując się z szycia i rebienia sukien damskich. Miałyśmy przyzwoite utrzymanie, a nawet mamy dotąd 1000 rubli w depozycie, czyli wypożyczonych.

Po śmierci rodziców, uzyskiwałyśmy corocznie u władz tamtejszych prolongatę paszportu. Aż wreszcie przed dwoma laty, niedając do tego najmniejszego powodu, zaczęto nas prześladować i wypędzać. Broniłyśmy się jak mogły, bo gdzież miałyśmy się udać do obcego nam kraju, gdzie nie mamy nikogo, gdyż ojciec wyszedł przed 50 laty z Galicyi. Nic to nie pomogło, zrabowano nas, obdarto ze wszystkiego, złupiono, i tak jak się złodziei wysyła, odstawiono nas szupasem do granicy. (Z kilku słów, rzuconych przez tę strwożoną kobietę, nie znającą widocznie tutejszych stosunków można powiedzieć, że te siostry były prześladowane z powodu wyznania katolickiego. Red)

Przybyłyśmy do Lwowa i w Policyi żądałyśmy passportów, aby módz powrócić. Policya odesłała nas do Magistratu, a ztamtąd tu nas odstawiono do tego piekła, o którem nikt nie może mieć pojęcia, na jakie straszne męki jesteśmy skazane.

Z początku chciano nas wysyłać do robót na ulicach, wraz z innymi aresztantami, aleśmy się temu stanowczo opierały“.

Zapytana Emilia Patkiewicz o siostrze, oświadczyła, że ta się znajduje w takim stanie, iż wyjść nie może i musi pilnować kilku węzełków szmat, aby ich tam inne aresztantki nie skradły“.

Udaliśmy się więc z p. radnym W. na pierwsze piętro. Tam w dwóch stancyach, znaleźliśmy 20 do 30 stworzeń żeńskich, od młodziutkich dziewczątek aż do starych kobiet, z wyraźnemi piętnami upadku moralnego i najwstrętniejszego cynizmu. Krzyk, kłótnie, przekleństwa, najsprosniejsze spiewki, oto obraz tego piekła.

W pierwszej izbie, w kącie, na gołej podłodze siedziała stostra Emilii Patkiewicz, Franciszka, a obok niej leżało kilka węzełków małych owiniętych w szmaty. Oto ich całe mienie. Miejsce to zajmujące najwyżej półtora metra w kwadrat, jest jedynem ich schroniskiem dniem i nocą od czternastu miesięcy. Franciszka Patkiewicz przedstawia jeszcze smutniejszy obraz charłactwa“. Strasznie wychudła, tylko skóra i kości, cera blado-żółto-sinawa, piersi wklęśnięte, kaszląca, widocznie z powodu rozwiniętych już suchot.

Zapytane, dla czego nie sypiają na siennikach ułożonych na pryczach? odpowiedziały, pokazując pokąsane ciało przez robactwo: „Niemożemy spać na siennikach boby nas robactwo zjadło, od którego i na ziemi cierpimy, ale już mniej. W tym kącie mniej cierpimy od napaści i znęcań, przez te, które tu codziennie sprowadzają tuzinami. A i tak cierpimy męki piekielne od tych stworzeń, dopuszczających się dotkliwych igraszek i prześladowań na nas“. Zapytane czy też ktoś z pp. Radnych tu nie był i nie zapytał o czas i powód siedzenia, odpowiedziała Emilia:

Było tu wielu panów, ale oprócz urągowiska i jakichś bolesnych słów, nic więcej nie słyszałyśmy. Na nasze prośby, aby nas posłano do pana „Gubernatora“ (p. Namiestnika), odpowiadają tylko szyderstwem, lub że go nie ma w domu.

Przed kilku dniami, był tu siwy pan, którego nazywano „prezydentem“; ten nam powiedział: „że możemy iść gdzie nam się podoba“. Ale patrzcież panowie, czy my możemy pokazać się w tym stanie na świat, i to podczas mrozu; kto nas przyjmie, kto się ulituje! zresztą za kilka godzin trzebaby zginąć“.

Pióro z ręki wypada, gdy piszemy o tych nieszczęśliwych nędzarkach, o tych prawdziwych męczennicach, tych nowych edycyach Barbary Ubryk, którym się już w tych torturach ciała i ducha, zmy-

sły prawie pomięszały, gdyż pomimo wyraźnych oddźwięków lepszego wychowania, wykształcenia, zidiocenie nie da się zaprzeczyć.

Na kimże cięży ta straszna krzywda i męczarnie tych nieszczęśliwych?

Niech p. Prezydent miasta raczy zbadać, jak spełnia swe obowiązki referent aresztów miejskich p. Leopold Strohner? Czy to nie jest występek, graniczący ze **z b r o d n i ą** — aby z aresztów miejskich tworzyć kryminały nad kryminałami, gdzie się oddaje na męki straszne ludzi bez wyroku?

Kto i jak wynagrodzi tym nieszczęśliwym, a może na całe życie uniezdolnionym do pracy niewinnym kobietom?

Czy rzeczywiście ustawa o przynależności do gminy, oparta jest w państwie konstytucyjnem w 19. wieku, na takich drakońskich prawach?

Jak nam wiadomo z pewnego źródła, Wysokie Namiestnictwo miało przeprowadzać z władzami rosyjskiemi w Kijowie korespondencye, dowiadując się, za co zostały wydalone siostry Patkiewiczówny? — Otóż miano odpowiedzieć, że nie miały paszportu i były „**b a r d z o e g z a l t o w a n e**". I nic więcej? A toźto najświetniejsze świadectwo moralności dla nich. Nie wątpimy, że ta odpowiedź była zakomunikowaną magistratowi lwowskiemu. Któż więc ferował wyrok tych nieograniczonych czasem strasznych tortur?

W aresztach miejskich jest wprawdzie osobna ubikacya dla porządniejszych, ale tę, znaleźliśmy zajętą przez p. Zarządcę — na pokój sypialny — dla jego służącej — a więc naturalnie, że Patkiewiczówny nie mogły być chociaż tam umieszczone. Zwiedzając inne nory aresztów, konstatowaliśmy straszny zaduch, zabijający odor zmysły, a ani śladu jakiejkolwiek desinfekcyi. Aresztа te nie czynią zaszczytu stolicy kraju.

J. N. z Oleksowa Gniewosz.

Z poznańskiego.

w lutym 1886.

„Mierzwiński — Mierzwińsio — Mierzweczko!" Oto obecnie hasło pań naszych de la haute volée! — Ach, te miłe, nieocenione, dobre, wzniosłe, artystyczne paniusie nasze! Jakże one umieją wyzyskać każdą daną sposobność na korzyść cierpiącej ludzkości naszej! Skoro się tylko dowiedziały o marszrucie „Mierawińsia" z Berlina na Poznań, natychmiast napisały do — Paryża i Wiednia po skromne sukienki dla siebie, za dziesiątki tysięcy franków, bo tu u nas bieda w kraju, a więc za tutejsze sukienki dawno zużyte, a nie zapłacone, mogą tutejsze krawczyki poczekać sobie, gdy tymczasem Paryż i Wiedeń tego nie mogą. Boski „Mierzwińsio" śpiewał — śpiewał wiele i dobrze — i poleciał sobie, zostawiwszy dym, kłopot dla żonkosiów i smutną perspektywę dla naszych dogorywających bankrutów! A niechże już skonają, jeśli hamować się nie umieją — jeśli nie umieją być „czechami!" Ale nie skonają! Może ich też „Żeleźniak" monopolem na spirytus podźwignie majątkowo!...

Oto znowu beczkę Danaid napełniać postanowiono — a to za pomocą monopolu spirytusu. Nie wiedziec już, co opodatkować! Przyszła kolej na okowitę — dalej przyjdzie monopol na tabakę — monopol kolejowy już jest — jednem słowem: wszystko tu będzie monopolem. Istna wieża Babel powstała wskutek owego monopolu w pojęciach i dążnościach tutejszych. Liberalizm niemiecki wszystek jest przeciw monopolowi — parlament nawet niemiecki przeciw niemu, u nas trzech tylko mężów, a raczej dwóch za monopolem. Na czele stoi jaśnie wielmożny pan hrabia Ignacy Bniński ze Samostrzela, któremu w czasie wielkiej tellusowej burzy, pan Bismark wierny przyjaciel, ów „Samostrzel" uratował. Wdzięczny przyjaciel gardłuje więc u nas za monopolem. Pomagał mu, lubo oględnie, pan Dr. Zygmunt Szołdrzyński, a i pan hr. Mieczysław Kwilecki, z Oporowa, zamierzał to uczynić, ale się szlachetnie cofnął przez wzgląd na dobro miliona naszego ludu, któryby monopolem został bardzo pokrzywdzony. Obywatelstwo nasze ziemskie zebrało się celem narad nad tym przedmiotem 21. Stycznia r. b. w Poznaniu, w hotelu Francuzkim, gdzie się odznaczył potępieniem monopolu pan Nestor Koszutski. Za nim to poszedł pan Mieczysław Kwilecki, mając na oku dobro ludu, który zawsze, chociażby paliatywnego środka, potrzebuje wódki ku podniesieniu sił fizycznych. Najzapaleńsi zwolennicy monopolu muszą przyznać zniewoleni, że podrożenie wódki nie zapobiega pijaństwu, a więc wzgląd naszych dwóch monopolistów na moralność ludu w tej mierze bardzo niewczesny. U nas jest 430 gorzelni przeszło. Każda z nich wypala w przecięciu 1.500 beczek okowity rocznie — monopol obiecuje znacznie podrożyć cenę beczki (ale tylko obiecuje) a tak podobno rocznie dochód z każdej gorzelni wynosiłby o 3.750 do 4.000 talarów więcej niż dotychczas. Srodek jednak monopolowy jest u nas łapką, bo w jednej chwili może wystawić na szwank całe istnienie gorzelni, a z nią i dziedzica. Przytem napłynęłoby znowu mnóstwo urzędników z Brandenburgii, jako kontrolerów gorzelnianych, wódczanych etc. Zebranie w hotelu Francuzkim zupełnie też monopol potępiło; ciekawość, jak nasi posłowie w Berlinie w sprawie monopolu głosować będą. Niemcy tutejsi i żydzi mówią, że w takim razie wartoby było im... Pan Bismark zagroził parlamentowi, że go rozpędzi, jeśli przeciw monopolowi występować będzie. Nasi posłowie gotowi „z grzeczności" głosować za monopolem!... Toć święty Kuryer ze względu na gniew pana Bismarka dosłownie powiada: „Ten potężny żelazny kanclerz niemiecki... niebezpieczny". „Bądźmy przekonani, że opór i brak uznania, jaki spotyka ludzi potężnych, jeszcze więcej gniew ich zaostrza! Nie drażnijmy potężnego kanclerza, aby" etc.

A więc jeśli monitor poselski tak się wyraża, to kto wie, jak się zdecydują posłowie polscy w Berlinie! Jeśli wolno, to my głośno składamy dziękczynienie panu Kanclerzowi, jako naszej narodowości najlepszemu przyjacielowi! Jeśli kto, to on nas rozumu nauczy — jeśli kto, to on światu obwieści, czem my to jesteśmy! A i posłowi Windhorstowi wdzięczni za to bardzo jesteśmy, że nas wobec niemców broni, ale zarazem i za to, że uczy naszych posłów, jak sobie poczynać w obronie, że potrzeba opierać się na traktatach, na słowach królewskich i na prawie wręcz i bez ogródki. Tymczasem posłowie nasi nie wiem, czy skorzystają z samej lekcyi, bo oni, to księża ichmoście, aspirujące na stolicę arcybiskupią, kłaniać się grzecznie tylko umieją, prócz może jednego — umieją być „grzecznemi dziećmi", potulnemi barankami, którym nie godzi się drażnić, ale owszem starać się o względy potentatów, aby ich nie minęła mitra arcybiskupia! Niktby nie uwierzył, ilu to mamy na tę godność kardynałów, a co jeden to lepszy! Tymczasem trud to i starania bezowocne. Habemus papam! Mamy już bowiem arcypasterza! Aniby kto zgadł, co zacz! Oto ksiądz proboszcz i kanonik honorowy w Królewcu, Dinder, z kaszubów czy też z mazurów rodem. Najrozmaitsze o tej osobistości obiegają tu wieści. W każdym razie dziwna to niespodzianka dla Wielkopolan. Rzym podobno przyrzekł naszym znakomitościom, że nie kto inny, jak Polak osiędzie na stolicy św. Wojciecha; tymczasem ks. Dinder podobno nawet po polsku nie umie! Nawet „święty Kuryer" nie mógł się oprzeć temu, aby nie wyrazić rozczarowania. Roti on słodko-kwaśną minę i krokodyle łzy leje, że musi się rozstać z najprzewielebniejszym arcypasterzem hr. Ledóchowskim. Nawiasem powiedziawszy, tak on go miłuje, jak — nieprzymierzając — liszka miłuje się z liszką! A więc ominął was zaszczyt posiadania mitry arcybiskupiej, wy zacni aspiranci w czarnych sukniach! Jaka szkoda!... Ale może niezadługo ją powetować będziecie mogli! Pocieszcie się przeto! A cóż czynią Polacy nasi w sejmie pruskim, w którym na nich p. Kanclerz wyrzucił cały zasób ciężkich zarzutów?! Nietylko wypędzić nie swoich, ale jeszcze wykupić tutejszych... kanclerz postanowił. Mają się na to składać Niemcy, a pieniądz ku temu zebrany, najlepszy w ich mniemaniu plon przyniesie. Doprawdy, że jakoś ten rok same nam przynosi nadzwyczajności. Vae victis! Totus mundus clamavit! Zdaje się, że my tutaj nietylko helotami, ale i po prostu rzeczami w rzymskiem znaczeniu tego wyrazu się staniemy. Ale cóż czynią nasi na sejmie pruskim? Ha no! nic nie czynią, aby nie drażnić. Windhorsty i Niemcy inni przemawiają za nami — nasi rządzą się dyplomacyą — wysoką dyplomacyą — i milczą!

Jakkolwiek pewne stronnictwo nasze — tak mówi jedno z pism tutejszych — jakkolwiek owo stronnictwo od lat dziesięciu stara się o to, ażeby naród nasz usnął, polityczne nie myślał, tylko całą troskę myślenia zdał na kilkanaście rodzin lub osób uprzywilejowanych i samodzierżczych; to jednak rozporządzenia rządu i przemowy panów ministrów na przekor takiemu usypianiu narodu, wstrząsają do głębi całym naszym narodowym organizmem, tak, że naród albo umrzeć musi, albo wyzdrowieć doskonale. Polityka „niedrażnienia" na nic się nie przydała! Na wszystkie perswazye i usypiające proszki odpowiedziano nam bezwględnem stawieniem interesu Niemiec ponad grzeczność naszą, a wszystko razem przypieczętowano w końcu — arcybiskupem niemieckiej narodowości! Vivat więc polityka „niedrażnienia", vivant posłowie nasi w Berlinie!

Dosyć o tem! W końcu wspomnieć nam wypada o nowem piśmie, pod redakcyą czy nakładem znanego tutaj pana Łebińskiego wychodzącem. Jestto pismo dla techników. Nie mieliśmy go w ręku, ale słyszeliśmy, że podobno nie odpowiada celowi, bo pan Ł. technikiem nie będąc, daje odgrzewaną strawę abonentom, których podobno niewielu na „trud", bo za wiele już tych „trudów" u nas.

A i o orkiestrze tutejszej wspomnieć nieco warto. Utworzył ją pan dyrektor Dembiński, jak to swego czasu donosiłem, z samych rodaków wielkopolan, wyćwiczył, umundorował i od września roku zeszłego daje z nią koncerty. Tymczasem z braku lokalu polskiego, zimową porą koncerty ustały, a wycieczki rzadkie na prowincyę grosza nie przysparzają. Orkiestra więc, lubo wcale dobrze wyćwiczona, cierpi niedostatek i przyjdzie ją rozwiązać. W tych ciężkich bowiem czasach składki na nią nie wpływają, a zresztą towarzystwo ku opiece nad tą orkiestrą założone nie daje znaku życia. Pan dyrektor administratorem dobrym nie jest, bo ten przymiot niema nic wspólnego z muzyką; dla tego też orkiestra nasza z takim trudem i mozołem zrekrutowana i wyćwiczona, na pociechę naszych najserdeczniejszych upaść będzie musiała. Wielka to szkoda, bo znów jeden łącznik ludności naszej upadnie — i znów obcy i wrażo ku nam usposobieni, ciężko przez nas zapracowany grosz do swojej ściągać będą kieszeni, kiedy nasi głód będą marli! — Ale dobrze nam tak, bo się o orkiestrą naszą wcale nie troszczymy.

Takie to u nas czasy! *(Przegl. tyg.)*

Znalezione notatki.

Do Redakcyi naszej przyniesiono książeczkę z różnemi notatkami, a znalezioną wrzekomo na rogu ulicy Teatralnej i Ormiańskiej w najbliższej okolicy kryłoszańskiego banku. Notatki te zawierają zapiski dla pamięci widocznie, w różnych kierunkach, a pod osobą rubryką „**B a n k k r y ł o s z a ń s k i**". Otóż ta właśnie rubryka zawiera takie szczegóły, które porównawszy z różnemi echami lwowskiemi, tak zwanemi „vox populi", obejmują również wyjątkowe szczegóły dotyczące banku kryłoszańskiego, I tak n. p.

„Hospodyn Paw... podniósł w „Slawii" 75.000 złr. dla banku kryłoszańskiego. Przy wniesieniu tychże do kasy banku, pokazał się niedobór w kwocie 1.400 złr. i mankament ten uwidoczniony jest na folium 35 księgi kasowej czy głównej (nie można odczytać wyraźnie) na rzecz „**d o p i s y w a t e l a**" p. P.

Notatka druga opiewa:

Z oddziału zastawniczego przenosił p. Ł..... do kasy banku na górę pewną większą kwotę; w drodze tej, a więc z parteru na I. piętro zaginęło 400 złr. którito niedobór znowu zapisany na „dopisywatela" p. P. folium 23 odnośnej księgi.

Trzecia notatka jeszcze ciekawsza.

Przy skontrowaniu porcefeulu wekslowego przez pp. Ł..... i P...... okazał się później brak z ryczałtowej sumy weksli na 49.000 złr., a obecnie mankament ten podniósł się do wysokości 65.000 złr. W nawiasie jest dopisek następujący:

„Przy najściślejszych oględzinach nie pokazało się, aby myszy portefeul pogryzły".

Nareszcie czwarta notatka zaznacza jakoby dokonany fakt:

„że przy wykupnie zastawionych efektów u pp. S. & L. zapłacono sumę większą o 11.000 złr., aniżeli wartość tychże efektów wynosiła. Pp. L. & S. mogliby coś o tem powiedzieć.

Te notatki są widocznie dawniejsze, przynajmniej nie z tego roku, najnowsze zaś, kilkanaście stronnic dalej, zaznaczają:

„W księgach banku kryłoszańskiego nie jest uwidocznione wniesienie do kasy bankowej przeszło 100.000 złr., które przysłano z „Pietiera" (zapewne z Petersburga). Zachodzi więc pytanie, na co te pieniądze zostały użyte i jak niemi rozdysponowano i kto.

Najnowszy dopisek brzmi:

Otiec Naumowicz za ostatnią podróż do „Pietiera" — jako koszta podróży pobrał z kasy 2.000 złr.

Notatki te wszystkie razem zebrawszy dozwalają się domyślać, że pochodzą od jakiegoś specyalisty, statystyka. Myśmy zaś umieścili je jedynie dlatego w naszem piśmie, aby właściciel zgłosił się po nie dla niego zapewne cenną zgubę.

KRONIKA.

Wzywamy wszystkie zacne i miłosierne obywatelki Lwowa, o przyjście w pomoc dwóm nieszczęśliwym **o f i a r o m m ę c z e n n i c o m**, siostrom Emilii i Franciszce Patkiewiczównom w aresztach miejskich — które tam siedzą niewinnie przeszło **c z t e r n a ś c i e m i e s i ę c y**.

Mianowicie prosimy o bieliznę, obuwie i garderobę zimową, oraz inne datki, aby je uchronić od śmierci z nędzy.

Redakcya „Strażnicy polskiej" Rynek Nr. 8. pierwsze piętro — zajmie się pośrednictwem i kontrolą datków oraz zaopiekuje się temi męczennicami.

Datki miłosierne będą szczegółowo podane w „Strażnicy polskiej“.

Dla sióstr Emilii i Franciszki Patkiewiczów w aresztach miejskich, złożyło towarzystwo w piwiarni p. Kiselki — 4 złr.

Rok 1886.

Jest rokiem wielkiego Jubileuszu, w nim bowiem przypada pięćsetletnia rocznica chrztu Litwy przez Jagiełłę i Jadwigę.

Czyż może być donioślejsza i cenniejsza pamięć dziejowa, jak ta Rocznica? Czy niepowinna ona poruszyć wszystkich serc patryotycznych? Wszakżeż to wielki fakt w dziejach europejskiej cywilisacyi.

Z Krakowa donoszą, że tam ks. biskup Dunajewski — staje na czele obchodu wspaniałego, w którym wezmą udział z całą okazałością uniwersytet, magistrat i wszystkie towarzystwa, cały Kraków i okolica.

Uroczystość ma być w całem tego słowa znaczeniu godną tak wielkiej pamiątki dziejowej — wspaniałą.

We Lwowie także się zawiązał, jak słyszymy taki komitet, ale tak cicho, tak bez echa, że wygląda rzeczywiście na to tylko, aby odbyło się decorum jubileuszu i nic więcej.

Słyszeliśmy że była jakeś deputacya u p. Prezydenta, dla którego ten Jubileusz był poprostu nowiną, — a słysząc po raz pierwszy o nim, niemógł też dać stanowczej odpowiedzi i dopiero się ma naradzić w tym względzie.

Uroczystość lwowska ma się odbyć 4 Marca, jako w dzień koronacyi Jagiełły i Jadwigi, o czem zapewne zawiadomią miasto plakaty, *na dzień lub dwa wprzód rozlepione.*

My z naszej strony tylko to zaznaczamy, opierając się na doświadczeniu, że gdyby była już wyszła inicyatywa odpowiednia doniosłości tej pamiątki, chociażby od Ojców miasta, była by tem samem dała hasło całej wschodniej części kraju. Ale — mogłoby to przeszkodzić ochoczej zabawie karnawałowej, popsuć różne maskarady z maskami i bez masek, a mianowicie, gotowe się nieudać wesela w sopliccowskim dworze w domu narodnym, honor prezesa koła literacko-artystycznego, narażony byłby na szwank a cóż dopiero mówić o uroczystości i srebrnym wieńcu dla pani — Arklowej etc.

Ludzie rzeczywiście postępowi, nabyli zupełnie innego poglądu na ideę — patryotyczną. Ich ideałem jest realna teraźniejszość, z ich życiem kończy się wszystko. Jakieś tam wspomnienia dziejowe od lat 500 cuchną niemile stęchlizną grobów. Ludzie realni, niebawią się „w tego rodzaju szopki“.

Zresztą takeśmy się rozbawili, rozhulali i — tak nam z tem błogo — że byłoby niedorzecznością, idiotycznym szowinizmem, zwracać się ku jakimś niewczesnym sentymentom. A więc hulajmy, aż się całe piekło z nami śmiać będzie!

„Osa“. Urodzaj na humorystyczne pisma w Galicyi jest w tym roku niezwykły; wyrastają jak grzyby po deszczu. Lecz chociaż wiele się uważa za powołanych, to nie zawsze i nie każdy bywa wybrany. Tak też i z naszym humorem galicyjskim i z redaktorami pism humorystycznych, które usiłują głównie bawić narodek galicyjski i rzadko im się udaje wypłynąć na powierzchnię naszych poglądów.

Ku zdziwieniu ogólnemu pojawiła się i to wśród kwartału — *Osa*, ale już nie jako pismo humorystyczne, ale satyryczne. Gdy pierwszy Nr. kolportowano po Lwowie i rozdawano jak to zwyczaj bezpłatnie, można było zauważyć, że nie jeden osobnik, który tę satyrę wziął do rąk, tak się już czuł przesycony humorystyką galicyjską, iż przeczytawszy zaledwie tytuł i rzuciwszy okiem na ilustracye, odrzucał pismo na bok. Aż nareszcie kilku ciekawszych zaczęło się wczytywać i zwracać pilniejszą uwagę. Wynik zaś był taki, że niepozorne pisemko chociaż w bardzo przyzwoitej szacie brano powtórnie do rąk, a ocena ogólna wypadła jak najpochlebniej. *Osa* odznacza się rzeczywiście świeżością poglądów, a jej satyra jest zupełnie odmienną od lukrecyjnego smaku innych pism podobnych. A jeżeli tak będzie redagowaną jak to wskazują dwa pierwsze Nra i jeżeli wydawnictwo to będzie jako tako poparte, to można już dziś przewidzieć, że wytworzy innym wydawnictwom humorystycznym niebezpieczną konkurencyę. Rysunki główne oparte na najżywotniejszych sprawach obecnej chwili, są wykonane z werwą i pomyślane bardzo dobrze.

Szczególniej szan. prenumeratorom *Strażnicy polskiej* polecamy gorąco tę satyrycznem żądłem kłującą *Osę*.

Zmuszeni jesteśmy i to zaznaczyć, że uczciwe dziennikarstwo lwowskie z wyjątkiem *Kurjera lwowskiego* nie zaznaczyło nawet w kronikarskich literackich zapiskach ani jednem słowem o pojawieniu się *Osy*.

Być może, że „Głosy prasy“, zamieszczone w tem piśmie stały się tego milczenia powodem.

Strażnica polska została tam także ukłuta, ale nie przeszkadza to nic redakcyi, aby podnieść to, co uczciwe.

Po chrześcijańsku, obywatelsku i patryotycznie. Dnia 12. bm. od południa aż do wieczora była ulica Halicka we Lwowie widownią tak przykrej i oburzającej sceny, jaka nawet w stolicy kraju jest rzadkiem nader wypadkiem.

Jak wiadomo, handel nasz przebywa wielce niebezpieczną kryzis, gdyż dziś najpierwsze i najstarsze firmy nawet, żyją w obawie o przyszłość, o jutro. Kto nie mógł zebrać zasobów z lepszych czasów i nie może się takowymi dziś posiłkować, ten się może spodziewać najgorszych następstw. Szczególniej nasze kupiectwo chrześciańskie znajduje się powiedzmy śmiało — nad przepaścią. Znaczne activa w książkach, nie mogą pokryć obowiązujących wypłat, a targ codzienny nie pokrywa często nawet najgłówniejszych wydatków. A gdy zaległych rachunków prawie nikt nie spłaca, to cóż kupcowi pozostaje, jeżeli ma i wszelki kredyt zamknięty, jak tylko ogłosić niewypłacalność, i całą pracę chociażby długoletnią oddać na pastwę postępowania konkursowego, którego koszta wszystko pochłaniają, gdyż natomiast właściciel handlu i dostawcy tracą wszystko.

W takiem położeniu znalazła się i znana firma przy ulicy Halickiej p. B............. Pracował ciężko, pilnował handlu, liczył się z każdym centem, lecz to wszystko nic nie pomogło, gdyż wobec niepraktykowanej długo stagnacyi, zmuszony był ogłosić swoją niewypłacalność. Masa konkursowa oceniła zasób towarów na 9.000 złr., ale doświadczenie pouczało, że jeżeli towary te sprzedane będą częściowo na rzecz masy, to będą sprzedane, ale w końcu się pokaże, że suma zaledwie wystarczy na pokrycie kosztów drogą konkursu. B.............. był kompletnie zrujnowany, lecz znaleźli się ludzie dobrej woli i krewni, którzy złożywszy po kilkaset złr., kupili od masy dla jego żony hurtem te towary, i rozpoczęto wyprzedaż tychże po nader nizkich cenach, ale miano nadzieję, że zostanie się chociaż tyle, aby rodzina nie cierpiała nędzy chwilowo i pani B............ będzie w możności otworzenia chociaż małego sklepiku. Magazyn ten mieścił się jak wiadomo przy ulicy Halickiej w domu pani Sabiny Kamińskiej wdowy, właścicielki dwóch kamienic, i żyjącej w dobrze uregulowanych interesach. Zaległy czynsz dzierżawny za magazyn otrzymała pani Kamińska w całości, a chodziło już tylko o to, aby pani B . . zyskała chociaż 4 tygodnie czasu na wyprzedaż towarów. Pani Kamińska inaczej się jednak na to zapatrywała, gdyż jej chodziło o to, aby ona stała się nabywczynią tych towarów od masy konkursowej, co nawet miało już przyjść do skutku, lecz zmuszono ją moralnie do odstąpienia od tego amatorstwa handlowego. Cóż czyni pani Sabina Kamińska? Oto postanowiła się po swojemu zemścić, wypuściwszy ten magazyn w dzierżawę żydowi na bazar wiedeński podała o rumacyę i nie czekając ani chwili, wprowadziła takową w czyn. W piątek w południe wpadają organa urzędowe z pomocnikami do magazynu i bez wszelkich ceremonji nie dając ani kilku godzin delaty, wyrzucają wszystkie towary bezpośrednio na ulicę wraz z urządzeniem, aż do ostatniego gwoździa. Nie pomagają prośby, ofiarowanie wynagrodzenia, jakiego pani Sabina Kamińska zażąda, aby chociaż dwa dni dała oddechu i uczyniła możebnem spokojne przeprowadzenie towarów i urządzeń. Zacna obywatelka ubrawszy się, wraz z córkami na wydaniu, ulotniła się szybko, nie chcąc o niczem słyszeć.

Na ulicy Halickiej gromadziły się setki, tysiące ludu; towary wyrzucano w śnieg, w topniejące błoto. Oburzenie było tak powszechne, jakiego nie pamiętamy i gdyby nie to, że pani Kamińska znikła z domu, to pytanie, czyby nie było przyszło do smutnych zaburzeń.

Bezwzględność ta, brak wszelkiego poczucia chrześcijańskiego, obywatelskiego i patryotycznego czyni zbyteczne wszelkie dalsze komentarze.

Nic a nic teraz już się dziwić nie można, że śród i państw i narodów, jak niemniej pojedynczych jednostek, zapanowała taka muzyczna dysharmonia, skoro wielki europejski śpiewak, tak popsuł harmonię i zdegustował muzykę, że pan Grünfeld, przyjechawszy do Warszawy, choć Bogiem a prawdą, ni Lisztem, ni Rubinsteinem nie jest a dobrym wirtuozem, jakich na setki w Europie spotkać można, odegrać był zmuszony swój koncert przed pustemi ławkami, przepraszam, tylko przed pewną częścią publiczności warszawskiej, a mianowicie tą która posiada gotówkę i której Bismarkowskie metody niepomieszały zupełnie taktu w narządzie słuchowym. W innem za to miejscu, skonstatowano arcy-smutny objaw tej choroby, zdaje się nawet z pewną przymieszką zapalenia mózgu. Mówię tutaj o tak zwanem konserwatoryum muzycznem w Warszawie, które wprawdzie do chwili obecnej nie zakonserwowało nam ani jednego muzyka, a do kultu muzykalnego u nas w kraju przyczynia się tyle, ile do zmartwychpowstania umarłego kadzidło, ale natomiast stara się ilekroć razy ku temu nadarzy mu się sposobność, przeszkodzić każdemu pracującemu na tem polu, w jego uczciwych zamiarach; komuś przyszła myśl założenia przy Towarzystwie muzycznem amatorskiej orkiestry, zapisało się więc do niej sporo uczniów konserwatoryum, i wszystko byłoby dobrze, gdyby naraz nie przyszła dzika myśl do głowy komuś wzbronienia uczniom udziału w tem zbiorowem muzykowaniu i orkiestra fajtnęła. A jakie to tam motywy w tym zakazie, aż miło posłuchać, soliści psują się w orkiestrze Towarzystwa muzycznego, ale nie psują się grając w orkiestrach ogródkowych, restauracyach, itp. O święty patronie rozumu, o duchu święty, przybądź ty na ratunek tym zaślepionym, którzy sami nic a nic nie robią, psują jeszcze robotę innym i spraw, aby olej, który przecież z powodu obfitości rzepaku w ost.tnich latach staniec musiał, dostał się do komórek mózgowych tych, którzy go dotąd zdobyć nie byli w stanie. Nic to jednak niech nas nie martwi, bo dopóki na świecie nie zginęła możliwość cudu, możliwością też jest, że go się doczekamy, tak jak powoli spływają na nas wszelkie przyjemności tak i to nadejdzie. Najpierw całe nasze corpus juris pokaże co umie, na woskowanej posadzce sali resursy kupieckiej, potem pokażą także co umieją nasi inżynierowie, potem nasi dżentelmani wszelkich odcieni jak tapicerzy, cukiernicy stolarze, drukarze, a pono nawet i literaci bez artystów jednakże, którzy w tym roku pokryli twarz grubą zasłoną, rozdarli na znak żałoby swe szaty i chodzą po świecie pięknym, z fizyonomiami przypominającemi straszne kurcze żołądka. Badałem bardzo pilnie przyczyny tego stanu ich żołądkowego, ale nikt mnie objaśnić nie umiał i dopiero wszechwładny Kupido miejską pocztą przysłał mi maleńkie objaśnienie, że podobno w tej sferze i w bieżącym karnawale olbrzymia moc arbuzów zakwitła. Kupido jest złośliwym to rzecz notoryczna, już od dawien dawna, ale żeby miał tak źle wpływać na humor naszych mistrzów pędzla, tego się zupełnie nie spodziewałem, dlatego radzę im przyjąć wszystkie figle w bieżącym karnawale z obojętnością, a wszystkie bóle serca przytłumić ognistym mazurowym hołupcem i wszystko będzie w porządku. Prócz kłopotu naszych panów malarzy, zauważyłem też kłopot naszych panów melomanów, którzy nie wiedzą jak poradzić sobie z panią Sembrich czy też panią Kochańską, która gubi i odnajduje periodycznie swoja rozmaite nazwiska i niewiem z jakiem zjawi się na bruku warszawskim. Podałbym projekt wybrnięcia z sytuacyi, to zrobić znakomitą śpiewaczkę członkinią honorową mającego się u nas zawiązać stowarzyszenia pływackiego kobiet jeszcze w roku bieżącym, jak zapewniają nasi reporterowie. Skoro bowiem pani Marcelina umie tak doskonale pływać wśród wszystkich międzynarodowych nienawiści i tak zgrabnie chować i wywieszać swoje nazwiskowe szyldy — toć przecież uznanie się jej zato bez zaprzeczenia należy. Na rozmaite uznania narodowe wynaleźby można jeszcze bardzo wiele osobników warszawskich. Ot naprzykład tych „młodo-“ czy tam „staro-“-konserwatystów — bo niewiem już doprawdy jak się nazywają ci, którzy zostawiwszy w kasie ogniotrwałej swoje konserwatywne przekonanie i zamknąwszy je na cztery spusty, idą używać życia do wspaniałego lokalu Doliny Szwajcarskiej i rozkoszować się tam nadobnemi wdziękami hurys warszawskich. Wprawdzie, jak tam któryś ze współczesnych humorystów powiedział, Dolina jest najlepszym zakładem operacyjnej dentystyki i posiada tę dogodność, że się do domu przypływa rynsztokiem, ale któżby tam zwracał uwagę na takie drobnostki, zwłaszcza gdy chodzi o dowiedzenie światu, że czy młody czy stary konserwatyzm musi on dokumentnie zachować w pamięci, sercu i uczuciach, tradycye tych miejsc, w których ojcowie nasi także doskonale się bawili, lubo nie przypływali do domu rynsztokami i lubo zębów ich z tego budynku, w którym się obecnie gnieździ wdzięk i cnota, koszami z balów nie wynosili.

(Przegląd tygod.)

Panna Marya Wisnowska, wielce utalentowana artystka dramatyczna w teatrze warszawskim, zaproszona, ażeby deklamowała na koncercie corocznie urządzanym na dochód niezamożnych studentów, chętnie przyjęła udział. Aytystka oddeklamowała dwa wiersze zamieszczone w programie. Publiczność wynagrodziła ją za piękną deklamacyę oklaskami pełnymi zapału. Artystka temi oklaskami pobudzona do wdzięczności zadeklamowała jeszcze po nad program bajkę p. t. „Bekas i kuropatwa“. Bajeczka zupełnie niewinna, bez żadnych aluzyj politycznych i przepuszczona przez censurę, że jednak nie była zamieszczona w programie, więc Apuchtin, sławny z ukazów kurator naukowego okręgu, skazał pannę Wisnowską na zapłacenie 150 rubli kary. Droga bajeczka!

Jakich rząd pruski Niemców posyła do ziem polskich na sędziów, dowiedzieć się można z następującego wypadku w Lubawie, w Prusach zachodnich wydarzonego a przez *Dziennik Poznański* opisanego:

„Jubileusz dwudziestopięcioletniego panowania cesarza Wilhelma nie obył się tu w Lubawie bez nieprzyjemnego intermezzo. Ksiądz proboszcz Hebel z Prątnicy pod Lubawą, wziął udział we wspólnym obiedzie, jaki z okazyi tego jubileuszu odbył się tu na sali p. Goldstanda. O ile uroczystość ta była piękną i wspaniałą, o tyle zakończenie jej dnia tego było niegodnem. Rzecz miała się tak: Ks. proboszcz Hebel przyszedł z kieliszkiem swym do tutejszego sędziego okręgowego, pana Kretschmera, z temi słowy: „Pan pozwolisz, że trącę się z nim na zdrowie Najjaśniejszego Pana“. Na to sędzia Kretschmer odpowiedział: „Z panem trącić się nie mogę, gdyż pan jesteś katolikiem, a katolicy nie mają ani cesarza, ani króla“. Gdy się ksiądz proboszcz na to słusznie oburzył, pan sędzia Kretschmer wstał i uderzył go w policzek. Zelżony w ten sposób ksiądz odrzekł, że on za to bić się z nim nie myśli, nie chcąc profanować dnia tak uroczystego, tem więcej, że p. sędzia Kretschmer policzka z jego ręki nie godzien. Gdy p. Kretschmer na to powtórnie do ks. proboszcza Hebla się porwał, wtedy wstali obecni panowie i pana sędziego zbiwszy za drzwi wyrzucili. Przed dwoma laty sędzia Lenke się zapił i skończył mizerny żywot w szpitalu policyjnym. Przed kilku tygodniami sędzia tutejszy dr. Hoyden skazany został przez tutejszy sąd ławniczy na 600 marek kary, lub 60 dni więzienia za oszukaństwo przy grze hazardowej. Inny sędzia przeniesiony tutaj został z Hamersteinu podobno dla tego, że tam semickich współwyznawców swych zanadto protegował, o czem świadczą akta sądu tamtejszego“.

Wypadek ten, charakteryzujący sądownictwo niemieckie w Polsce, może się przyczyni do rozprószenia błędnych mniemań o powadze, rozumie, takcie i sprawiedliwości urzędników pruskich.

Niemcy, którzy przybywają do naszych ziem jako urzędnicy w szkole, w sądzie, w administracyi i w policyi, w charakterze germanizatorów, są wyrzutkami społeczeństwa niemieckiego.

Żaden poczciwy i szlachetny Niemiec brzydkiej roli dręczenia i wynaturzania narodu polzkiego nie przyjąłby na siebie. Więc ciągną do nas z Niemiec pijacy, karciarze, oszuści, brutale i ci zostają urzędnikami, sędziami, profesorami i budzą wstręt nieprzezwyciężony do rządu i narodu, który reprezentują.

Ze opinia nasza nie jest przesadną, przekonywa owa kolekcya lubawskich sędziów.

Gdzieindziej jeszcze są gorsi i jeszcze więksi grubianie i brutale“.

Towarzystwo literacko-słowiańskie przy uniwersytecie wrocławskim zamierza obchodzić w Czerwcu 1886 r. 50-letni jubileusz swego istnienia. Obchód będzie uświetniony przez wydanie pamiętnika, który prócz kilku rozpraw czynnych członków, będzie zawierał historyą Towarzystwa oraz imienny spis wszystkich, którzy kiedykolwiek do niego należeli. W odezwie wydanej jeszcze w listopadzie roku zeszłego wzywa Towarzystwo wszystkich byłych członków o skromne datki na wydanie owego pamiętnika.

Dary pieniężne można przesyłać na ręce Wacława Martena, studenta filozofii, prezesa Towarzystwa, mieszkającego w Wrocławiu (Breslau) na Herrenstrasse, 16, albo na ręce Władysława Kiszewskiego, studenta prawnego wydziału, sekretarza Tow., mieszkającego w Wrocławiu na Heinrichstrasse, 4.

Towarzystwo literacko-słowiańskie przy uniwersytecie wrocławskim, założone za wpływem sławnego Czecha Purkinjego, profesora tamtejszego uniwersytetu, było zawsze polskiem, bo inni Słowianie nie uczą się w Wrocławiu. Pomiędzy jego członkami byli mężowie, którzy później zajmowali ważne stanowiska w społeczeństwie i zasłynęli nauką i w dziejach polskich. Historya półwiekowa tego Towarzystwa będzie niewątpliwie bardzo ciekawą.

Profesorem prawa państwowego w Getyndze jest v. Bara, uchodzący za pierwszorzędną powagę w umiejętności prawa.

Otóż ten mąż uczony ogłosił niedawno w dzienniku *Nation* artykuł o wydalaniach Polaków z państwa pruskiego, w którem takowe potępia jako czyn nieludzki i nieprawny.

Twierdzi on, że parlament niemiecki, (Reichstag) tak formalnie jak materyalnie jest uprawniony do traktowania sprawy wydalań, że więc niesłusznie kanclerz odmawia parlamentowi kompetencyi.

Rozbierając dalej sprawę wydalań, powiada, że są one wykroczeniem przeciwko prawu międzynarodowemu i sprzeciwiają się tradycyom i duchowi obecnego prawa wszystkich narodów.

Autor kończy artykuł temi słowami: „Kiedy o licznych wydalaniach dowiedziano się, wtedy całe Niemcy i cała Europa uczuła, że byłoby do życzenia, aby rząd ośmielający się na krok podobny, dał jak najrychlej szczegółowe wyjaśnienia przedsięwziętych środków. Deklaracya taka dobrowolna byłaby osłabiła z góry wszelką agitacyę, reprezentacya zaś, któraby w razie milczenia rządu nie objawiła życzenia nawet wyjaśnienia sprawy, dowiodłaby obojętności zupełnej dla spraw międzynarodowych i humanitarnych“.

Artykuł uczonego prawnika wielką sensacyę wzbudził w Berlinie.

Profesor v. Bara nie ze stanowiska sympatyi sądzi tę sprawę, w jego wywodzie suchym a umiejętnym nie ma śladu powodowania się uczuciem, z jednakże musiał ze stanowiska litery praw obowiązujących potępić rozporządzenie rządu pruskiego.

Lecz rząd pruski i na czele jego stojący kanclerz dawno wiedział, bo w chwili powzięcia pomysłu wydalań, że jest ono pogwałceniem prawa, którego stróżem i obrońcą być się mieni. Nie wstrzymała go jednakże nielegalność przedsięwziętego kroku od wykonania takowego.

Rządowi narodowemu polskiemu winni nawet chłopi moskiewscy swoje uwłaszczenie, bo gdy car był przez dekret tegoż rządu zmuszony do wydania uwłaszczającego ukazu dla chłopów polskich, litewskich i ruskich, nie wypadało mu wyjątku robić dla chłopów moskiewskich.

Bez wypadków 1861 r. i powstania polskiego w 1863 roku jeszcze by dotąd chłopi w państwie carów odrabiali pańszczyznę!

† Dnia 7. Stycznia 1886 r. rozstał się z tym światem ś. p. **Adam Strusiński**, syn Józefa i Małgorzaty z Szajewskich; urodził się w Różanie, w powiecie Ostrołęckim, w roku 1828, bo liczył zaledwie lat 59; kończąc szkoły w Pułtusku, zaciągnął się do powstania w poznańskiem, a ztamtąd udał się przez Węgry na tułacze życie do Francyi. Zamieszkiwał Paryż, a później St. Malo do 1851 r.; przebywał następnie przez 10 lat w Australii aż do roku 1862, zkąd na odgłos wypadków zaszłych w kraju pospieszył na powrót do Europy. Po nieszczęśliwym obrocie powstania 1863 r. powrócił do Paryża, gdzie do końca życia pracował w biurach kompanii zachodniej dróg żelaznych. Był to człowiek zacnego charakteru, gotów zawsze do wszelkich dla ojczyzny poświęceń, przytem wzorowy mąż i ojciec, zostawił po sobie w nieutulonym żalu małżonkę swoją Estellę z Chodorowskich i szesnastoletnią córkę. — Liczny orszak przyjaciół i ziomków odprowadził zwłoki zmarłego na cmentarz Batiniolski.

Cześć pamięci tego godnego Polaka!

Okólnik do szanownych Rad wszystkich oddziałów jakoteż członków c. k. Towarzystwa gosp. galic. Dwudzieste pierwsze Walne Zgromadzenie Rady ogólnej Towarzystwa gosp. galicyjskiego, na które powołani są w myśl § 17 statutu nietylko delegaci obieralni — ale i prezesowie oddziałów, jako delegaci z urzędu — odbędzie się dnia 4. i następnych Marca br. we Lwowie. Program tegoż Zgromadzenia ustanawia się następujący:

A. Sprawy do decyzyi delegatów należące:

1. Sprawozdanie z czynności komitetu za rok 1885. 2. Sprawozdanie z czynności oddziałów, tudzież z obrotu ich funduszów za tenże rok 1885. 3. Sprawozdanie komisyi rachunkowej: a) co do zamknięcia rachunków za rok 1885. b) co do budżetu na rok 1886. 4. Wybór czterech członków komitetu na lat 4. w miejsce ustępujących z turnusu: pp. Dawida Abrahamowicza, Jana Breuera, dr. Tadeusza Pilata i Władysława Tynieckiego. 5. Wybór komisyi rachunkowej na rok przyszły. 6. Wnioski oddziałów i członków po przedyskutowaniu ich na poufnem posiedzeniu. Na temże poufnem posiedzeniu wniesioną też będzie sprawa sekcyi gorzelniczej i sprawa wystaw okręgowych.

B. Sprawy do decyzyi ogółu członków należące;

1. Sprawa rachunkowości rolniczej. 2. Sprawa chowu bydła — i reorganizacya stacyj buhajów subwencyonowanych. 3. Sprawa handlu rolniczego, składów zbożowych i zaliczek na warranty. 4. Sprawa emigracyi ludu i komisyi dla Towarzystwa kolonizacyjnego. 5. Zdanie sprawy sekcyi chmielowej i zawiązanie spółki chmielarskiej.

Podczas posiedzeń Rady ogólnej odbędzie się też posiedzenie sekcyi chmielowej, w lokalnościach Tow. gosp.

Okólnik niniejszy raczą szan. Rady oddziałów udzielić do wiadomości pp. delegatów jakoteż członków wszystkich, a zwracając ich uwagę, że w Zgromadzeniach Rady ogólnej mogą brać udział wszyscy członkowie Towarzystwa — a to w sprawach wyliczonych pod A. z głosem doradczym, zaś w sprawach wyliczonych pod B. z głosem stanowczym — zachęcić ich do jak najliczniejszego udziału.

Upraszamy również o wczesne zgłoszenia po karty legitymacyjne, uprawniające do korzystania z obniżeń kolejowych — prosząc zarazem o dołączenie dokładnego adresu t. j. miejsca zamieszkania i poczty ostatniej, niemniej też linii kolei żelaznej.

Pierwsze posiedzenie Rady ogólnej — dnia 4 Marca br. — rozpocznie się o godzinie 10 zrana w wielkiej sali ratuszowej

Lwów, dnia 7. Lutego 1886.

Z komitetu c. k. Towarzystwa gosp. galic.

Wiceprezes;	Sekretarz Tow.
Piotr Gross.	Józef Greliński.

Z teatru.

Od chwili zgonu nieodżałowanej pamięci Seweryna Zamojskiego, powstała w personalu naszego teatru luka, która długi czas nie dawała się zapełnić. Wielkie ramy, w których mieścił się talent artysty, świeciły pustką. W ramy te wkroczył p. Wojdałowicz, usiłując je małym swoim talentem zapełnić. Rozbijał się po obszernej przestrzeni, ramy były jednak za szerokie i za długie. P. Wojdałowicz wydymał się i wydłużał, lecz próżny trud; obraz był miniaturą, ramy prosiły o większe płótno.

Przyjechał wreszcie p. Frenkel. — Z niedowierzaniem patrzyliśmy na niego; — wreszcie po dłuższym czasie, poczęliśmy rozglądać się w jego talencie. Poznaliśmy, że talent to obszerny, poparty pracą, talent, który wstawiony w opustaszałe ramy odsadził na plan głęboki p. Wojdałowicza i rozsiadł się na honorowem miejscu, gdzie mu bardzo do twarzy.

Artysta dobrze zbudowany, obdarzony silnym organem, nadaje się już indywidualną swą naturą do odtwarzania typów polskich, szlachciców, humor zaś i widoczny dar spostrzegawczy pozwala p. Frenklowi z wielkiem powodzeniem grywać role charakterystyczne, które wychodzą w interpretacyi jego pełne prawdy, bez przymieszki szarży i bufonady scenicznej.

Publiczność nasza, którą autor nie tak łatwo ujmuje, jest dzisiaj p. Frenklowi zupełnie oddaną, o czem świadczy benefis jego, który po benefisie pni Stachowicz cieszył się najlepszym dostatkiem finansowym.

P. Frenkel wystawił na dochód swój „Porwanie Sabinek“ komedyą Schönthanów. — Porwanie Sabinek“ zajęło w spółczesnym repertoarzu teatrów niemieckich bardzo poczesne miejsce, nawet teatr dworski wiedeński, — ta scena dająca ton utworom scenicznym, nie rozstaje się z „Porwaniem“, a jezeli nam z Sabinkami niezadługo wziąść rozbrat przyjdzie, to zagadkę tę wyjaśnia różność narodowości, pewien niesmak, który w nas budzi komedya i humor niemiecki. Humor niamiecki i niemiecki dowcip, ma w sobie coś banalnego i dziecinnego. — Pieprzu i pieprzu! wołają Francuzi, a tej samej przyprawy żądni i Polacy — Dobra komedya i śliska moralność, dowcip i pikantny dwuznacznik splotły się u nas i tak ze sobą pogmatwały, że dowcip, którýby się dał wymówić bez szat i zasłon w towarzystwie młodych panienek, staje się ckliwym i dziecinnym. Proszę wziąć do ręki warszawską *Muchę* i *Fliegende Blätter*. Czytujemy głośno oba te pisma. *Mucha* sznuruje nadobne usteczka, widzisz podnoszące się wachlarze, zakrywające twarze, na których rozkwitł lub rozkwitnąć powinien rumieniec. Czytasz *Fliegende Blätter* i śmiejesz się na całe gardło — ty, śmieje się twoja czcigodna matka, twoja milutka żona, twoja purytańska świekra, i twoja młodziutka, niewinna siostra. Jest to — „w i t z“ dość często rubaszny — czasem dziecinny, ale nigdy prawie rozwiązły. Co kraj — to obyczaj naturalnie! Konstatuje się tylko, że tak jest, i że „Porwanie Sabinek“ daje mało wypieków i małe zabawy.

O farsie, przesuwającej się po scenie to — „w i t z e m“, to zabawną sytuacyą, nie możemy pisać obszernie. Ograniczając się tedy na pochwałach oddanych dobrej grze pp. Frenkla, Kwiecińskiego i pań Kwiecińskiej i Gostyńskiej — grze udolnej pp. Ruszkowskiego i Stępkowskiego i grze niesmacznej panny Pysznik, zapytujemy, dlaczego dyrekcya teatru, protegująca pnę Pysznik, nie skorzysta z nowo założonej szkoły dramatycznej p. Derynga i nie wyszle tej młodej artystki na kurs choreograficzny, gdzieby nabrała może zaokrąglonych ruchów i gdzieby nauczyć ją można ważnej sztuki chodzenia. Młoda ta artystka naśladuje bowiem chodem dwuletnią dziatwę przeginającą się z jednej strony na drugą, a scena nie może przedstawiać widoku bawialni dziecinnej, jakkolwiek widok taki jest bardzo uroczy, zabawny a nawet naiwny.

Bohater naszej sceny p. Roman Żelazowski, grał na benefis „Dymitra Samozwańca“ — spółki tak nierównej jak Schiller i Laube. Kiedy „Samozwaniec“ premierą ukazał się na scenie Burgteatru, jedno z niemieckich pism wiedeńskich podało ilustracyą, przedstawiającą Schillera, który czekał uzbrojony potężną pałką (vide Monczałówka) w wąskiej ulicy na Laubego, aby go nagrodzić za fuszerkę, której dokonał na jego niewykończonym projekcie dramatycznym. To też w „Dymitrze“ czuć dwoch ludzi; słyszysz polot geniuszu Schillera i flegmatyczne, ciężkie, wyu-

czone stąpanie Laubego; widzisz księcia poetów i a księcia dramatycznych robotników.

P. Zelazowski nie dał nam tej postaci zajmującej, poetycznej, nie przedstawił oszukanego samozwańca, który przeświadczony o świętości swych praw sukcesyjnych zmiótł z tronu Borysa i zasiadł na nim w imię prawdy i sprawiedliwości. Miał chwile bardzo dobre, bardzo szczęśliwe — jak się to w sprawozdawczym mówi języku, — przeprowadził rolę konsekwentnie, ale p. Zelazowski zakreślił już prawie talentowi swemu pewne granice, których ze szkodą sztuki przestąpić nie może, czy też niechce. Brak mu poezyi — postacie jego nie mają nigdy natchnienia, rodzą się bez znamienia artystycznego na czole, to też widz nie da się nigdy ująć i porwać, to też widz nie uczuwa w piersi tej grozy tragicznej, o której struny bohaterowie tragedyi właśnie potrącać mają. Brak mu tego „coś", które wyzwala z „aktora" i pasuje na „artystę".

Pani Aszpergerowa (caryca-matka) i p. Zboiński (bojar Szujski) grali świetnie w całem tego słowa znaczeniu. Artyści ci starej szkoły, przystępują do poważnego dzieła z namaszczenia i znają jeszcze szlachetny pathos i ton poważny, w jakim utwory poetyckie podawane być muszą. Pni Stachowicz nie wielką swą rolę oddała z wdziękiem, p. Kwieciński był ognistym Sapiehą. Lecz tu rwie się już tej pięknej historyi nić... bo reszta była tak tragiczną, iż godzi się zapłonąć świętym ogniem słusznego oburzenia i rozpocząć chyba stare: *Qaousque tandem?*

Pisząc w poprzednim artykule o „Adriannie Lecouvreur" podaliśmy zarzuty, które i tu podniesione do kwadratu umieścić się godzi. Niewyćwiczony w poważniejszej pracy personal bluźni sztuce, wywołując każdem słowem zamiast podniosłego efektu śmiech politowania. Traktowany po macoszemu dramat nie wabi publiczności, która też zawiedziona w oczekiwaniach lęka się dramatu. wiedząc z góry, że ujrzy na scenie parodyę. Nikt z ludzi poważniejszych i oszczędzających grosz publiczny, nie zdziwiłby się, gdyby Sejm w przyszłym roku obciął subwencyę wykładaną na dramat, tak jak to uczynił w roku bieżącym z subwencyą operową. Jeżeli dyrektor obdarza względami tylko operetkę, jeżeli tylko operetka liczyć może na staranną wystawę, to niedługo i tingel-tangel, rodzony brat operetki, będzie miał prawo upominać się o subwencyę.

Teatr powinien wykształcać sobie publiczność i czuwać nad jej gustem, a dyrektorowi teatru nietylko powodzenie kasowe ale i dobro publiczne przyświecać powinno, jeżeli ten dyrektor teatru nie ma być uważany na równi z pierwszym lepszym przedsiębiorcą cyrkowym, lub właścicielem muzealnego zbioru woskowych figur!

Gdy numer ten *Strażnicy polskiej* szedł pod prasę, odebraliśmy następującą korespondencyę.

Szanowny Redaktorze!

Upraszam Cię o umieszczenie w *Strażnicy polskiej* następującego listu.

Zły to jest zwyczaj, który prowadzi do używania dzienników, jako narzędzi napaści i do grożenia osobom, które prywatnie czy to publicznie wypowiadają krytyczne zdania o artykułach w tychże dziennikach zamieszczanych.

Zły ten zwyczaj niestety szerzy się w naszym kraju! Jeżeli mu sama publiczność tamy nie położy, spowodować może to smutne następstwo, iż dziennikarstwo utraci powagę jakoteż wpływ, tak wielce pożądany, ze względu dobra publicznego. W Nr. 7. *Kroniki stanisławowskiej* z r. b. wyczytałem z wielkiem a przykrem zdziwieniem artykuł takiej treści: „P. Kopernicki osławiony dyrektor tutejszej Kasy oszczędności, ośmiela się już nie od dziś przeciw naszemu pismu i redaktorowi wyrażać w ten sposób, jaki istotnie tylko „moskiewskiemu stupajce" właściwy. Dotąd milczeliśmy na różne nań dochodzące nas zażalenia stron i t. p., tylko przez wzgląd na wielce zasłużonego p. Ag. Gil., gdy jednak teraz znów wobec członków czytelni ludowej swoje „rabiatskoje" poglądy przeciw nam wygłasza, odpowiadamy mu niniejszem, że miarka naszej cierpliwości już przebrana i że w razie powtórzenia się takowych, nieomieszkamy bezwzględnie ogłosić całą zbyt ciekawą przeszłość tego pana".

Artykuł ten już samym swoim tonem napaści i groźby dostatecznie się osądza. Sąd jednak o nim ludzi poważnych musi wypaść o wiele surowiej, z tego powodu, że napaść ta uczyniona jest na człowieka znanego z nieposzlakowanej prawości i poświęcenia dla kraju. Kto jak Kopernicki poświęcił dla Ojczyzny wygodne stanowisko, mienie i dobry byt i w roku ciężkich prób i doświadczeń na polu bojowem niósł życie swoje w ofierze; kto następnie na emigracyi dzielił się ostatniem z towarzyszami, po przybyciu zaś do tej części kraju spełniał i spełnia sumiennie wszystkie swoje tak prywatne jak publiczne obowiązki, — zasłużył sobie na to, ażeby się o nim z większem uszanowaniem a przedewszystkiem, zgodnie z prawdą wyrażać.

Pan Alojzy Milerowicz, redaktor *Kroniki stanisławowskiej*, wmieszał moje nazwisko, zapewne z tego tytułu, iż Kopernicki jest mężem mojej siostry. Skromniej niż on oceniam moje prace i zasługi, jeżeli jednak prawdą jest co napisał, iż uważa mnie za wielce zasłużonego, powinien byłby z zaufaniem zgłosić się do mnie z zapytaniem ile jest prawdy w opowiadaniach tych, którzy mu zanieśli prywatnie wyrażaną opinię Kopernickiego o artykule w Nr. 6. *Kroniki stanisławowskiej* odsądzającym od wszelkiej zasługi i szacunku. *Towarzystwo muzyczne imienia Moniuszki* w rzeczy samej bardzo pożyteczne i zasłużone. W takim razie byłbym mu powiedział, iż w przedmiotowej, surowej krytyce wypowiedzianej prywatnie pomiędzy znajomymi przez mojego szwagra, nie było obrazy osobistej. Niedopuszczalnym zaś jest sposób terroryzowania groźbami współobywateli, którego używa w swoim dzienniku, a który polega na tem, że zdania i opinie prywatnie w kółku osób zaufanych wypowiedziane, lub też w księdze życzeń w kasynie miejskiem zapisane, czyni przedmiotem publicznego traktowania, grożąc tym, co je wypowiedzieli, jakiemiś odkryciami. Że zaś z powodu niedorzecznych małomiasteczkowych plotek, tak dalece przebrał miarę swojej cierpliwości, iż ośmielił się w swoim dzienniku napisać na obywatela, którego prawy charakter jako też wierną służbę zaszczytnie odznaczyła władza narodowa, opinia zaś jego towarzyszy i kraju potwierdziła to odznaczenie, uznając go za męża, który nigdy z uczciwej polskiej drogi nie zboczył, tego już dzisiaj nikt z poważnych obywateli naszego kraju za dobre panu Milerowiczowi nie poczyta.

Kończymy, powtarzając, źle służy krajowi i szkodzi dobru publicznemu, kto kłamliwemi posądzeniami i złośliwemi napaściami pragnie zbrudzić nieskazitelność współobywateli.

Racz szanowny redaktorze przyjąć wyrazy mojego szacunku.

Stanisławów 15. Lutego 1886.

Agaton Giller.

Oto znowu jeden ze smutnych przykładów, do czego u nas stosunki społeczne dochodzą i jak rozluzowane jest poczucie obywatelskie — jaka bezkarność dla wszelkiego rodzaju oczajduszów, przez których nikczemnemi napaściami, nie są nawet wolni tacy obywatele jak czcigodny pułkownik byłych wojsk polskich Kopernicki — którego cały żywot jest tylko jednem pasmem poświęcenia dla Ojczyzny. Ten, który tylekrotnie nadstawiał pierś w śmiertelnych bojach z wrogiem, który wraz z rodziną dziesiątki lat żył gorzkim chlebem tułaczym, który ostatnim jego kęsem i ostatnim groszem dzielił się z towarzyszami niedoli wzmacniając ich ducha gorącem słowem jakie płynęło z patryotycznej duszy, człowiek, który znany ze swej nieskazitelności — dzisiaj może być przez lada szubrawca bezczeszczony publicznie — nazywany „stupajką" i posądzony o nieuczciwość. Czemżesz to jest innem, jak nie objawem, że społeczeństwo nasze tak nisko upada moralnie, że tacy oczajdusze „redaktorzy" — czując zabezpieczenie pleców na podobnych im przyjaciołach politycznych, niewahają się rzucać na wszystko, co czcigodne, zasłużone i nietykalne być powinno.

Zaraza ta wyszła niestety — ze stolicy kraju, ze Lwowa i z Krakowa, — gdzie rozwielmożniające się kliki czarnych duchów, powprowadzały do dziennikarstwa, wszelkie szumowiny upadku moralnego i oddały im opinię publiczną w ręce. — Są to niestety straszne, smutne objawy. Jest to — „signum temporis", — które nietrudno przewidzieć, gdzie kraj doprowadzi i na jaką poniewierkę odda wszelką cześć narodową.

Nie wątpimy jednak ani chwili, że w Stanisławowie jest tylu prawdziwych zacnych patryotów, którzy bez zwłoki czasu, uwolnią gród Pokucia od takiego redaktora *Kroniki stanisławowskiej.*

Redakcya

Nadesłane.

Do pana Rudolfa Gablenza w Nadwórnej.

Nie zaprzeczysz pan, iż zachowanie się pańskie w obec mnie, nie było godnem krytyki człowieka sumiennego.

W nadmiarze ufności w siebie, właściwej ludziom idącym drogami krętemi, popełniasz pan krzywdę tem, iż zaprzeczasz mi wypłacenie kwoty 40 złr., słusznie mi się odnośnie do pisma z dnia 23. Grudnia 1884 l. 2.113 należącej.

Zatem, jeżeli pan umiałeś zachodzić w stosunki przyjacielskie z tak znakomicie u publiczności opisanemi osobami jak; Kosiewicz, Pasieczny, Fedor Chomyn; jeżeli umiesz pan z cudzego majątku wyświadczać dobrodziejstwa ludziom więcej jak wątpliwym ku szkodzie moralnej swych podwładnych; jeżeli umiałeś pan ku szkodzie skarbu nadwórniańskiego dać swemu przyjacielowi Schattnerowi propinacyę w Mikuliczynie o 2.100 złr. niżej oferty innego rzetelniejszego konkurenta; jeżeli umiałeś pan chwalić się iż ministerstwo rolnictwa powoływało pana na posadę dyrektora lasów i domen rządowych dla Galicyi, podczas gdy według zdania wszystkich osób pana znających nie dorosłeś pan nawet stanowisku leśnika; jeżeli pan potrafiłeś skompromitować się skarzeniem mnie o jakąś kradzież lasową, podczas gdy c. k. Sąd w Delatynie nawet bez przesłuchania rzekomo obwinionego skargę tę wprost odrzucił, wzywam pana niniejszem do zapłacenia mi wyż wspomnianej kwoty do dni ośmiu pod niżej położonym adresem, w przeciwnym bowiem razie wszelkie pańskie grzechy do publicznej wiadomości podać będę zmuszony.

Lwów. ul. św. Marka 4, Halickie.

Wincenty Barczewski.

Sprawozdanie targowe.

We Lwowie dnia 15. Lutego 1886

Dowóz pszenicy amerykańskiej przeszło o trzy czwarte części, mniejszy w tym roku, jak w przeszłym, oddziaływał również i w ostatnim tygodniu na ceny tego ziarna za granicą; a mianowicie na targi niemieckie, które posiłkując się własnymi zapasami, utrzymują ceny stałe. Niebawem jednakże i te zasoby muszą się wyczerpać, a stąd zapotrzebowanie bądź naszej bądź rosyjskiej pszenicy, okaże się niezbędnem i ceny, które dzisiaj jeszcze nie dają rachunku dla wywozu, z pewnością się podniosą.

Ciągłe choć powolne podwyższanie się cen pszenicy naszej pochodzi stąd, że gospodarze znaczną część, swoich zbiorów już wysprzedali i brak wyborowego ziarna na wszystkich krajowych targach uczuwać sie daje pomimo, że zapotrzebowanie mąki bądź dla młynów czeskich bądź dla morawskich, a nawet i Wiednia jest znaczne. Cena 6·75 do 7·75

Żyto nie doznało zwyżki i obrot był dość leniwy, 5—5·50.

Rośliny strączkowe, n. p. groch, tylko na miejscową potrzebę znajdował odbiorców, za granicą bowiem jak zawsze wymaga tylko doborowego ziarna; natomiast popyt na wykę i bobik jest znaczny, a dowozy zaledwo miejscowe potrzeby zadowolnić mogą, ztąd i cena znacznie wyższa i płacą o 50 cent. wyżej nad notowane 5.25—6 zł.

Kukurudza utrzymuje się w cenie, wątpliwe podwyższenie nastąpić może jedynie, jeżeli okaże się zapotrzebowanie do naszych gorzelni.

Na rzepak pomimo nie wielkich u nas zasobów, popyt mały; notujemy 8—10·20.

Hreczki mały dowóz, choć zapytania o ziarno na siew wiosenny się ożywiają.

Owies przy mniej ożywionym popycie utrzymuje się w cenie, brak bowiem zupełny wyborowego ziarna potrzebnego do zbliżającego się siewu, po 5·25—6·50 łatwo znaleść odbiorcę.

Zapotrzebowanie koniczyny czerwonej tak na potrzeby miejscowe, jak i na wywóz, ożywione — dowóz mianowicie wyborowego ziarna mały, cena 38—50. Trudno znaleść odbiorców na koniczynę białą przy cenie 42—65, a na szwedzką po 40—75. Jeszcze trudniej natomiast tymotka poszukiwana i po 18—20 złr. łatwego znajduje kupca.

Chmiel zupełnie zaniedbany.

Spirytusu ceny niezmienne.

ALEKSANDER SCHINDLER

rytownik

ulica Kopernika l. 17. we Lwowie

poleca swoją pracownię Rytowniczą jako pie wszą na drogich kamieniach

Rytowania Herbów, Monogramów i Liter.

Pieczęcie do laku i farby dla W. P. Notaryuszów, Adwokatów, Sędzi, Nauczycieli i k. Proboszczów.

METALOWE I KAUCZUKOWE.

Rzeźby na złocie i srebrze, rytuje herby, monogramy na wszelkich metalach. Maszynki do wyciskanio sucho na listach herbów, monogramów i całych nazwisk. Cęgi do opłatków. — Wykonywa medale podług fotografii i sztychów. Pracownia stempli kauczukowych.

Zamówienia wszelkie z prowincyi wykonywa szybko i po cenach przystępnych za zaliczką. Z szacunkiem

Schindler, rytownik.

„OSA“

najtańszy dwutygodnik satyryczny ilustrowany,

wychodzi we Lwowie od 1. Lutego 1886 r.

Prenumerata kosztuje:

We Lwowie (z przesyłką):		Na prowincyi:	
rocznie	2 zł. 50 ct.	rocznie	2 zł. 80 ct.
półrocznie	1 „ 30 „	półrocznie	1 „ 50 „
kwartalnie	— „ 70 „	kwartalnie	— „ 80 „

Redakcya i Administracya we Lwowie, Rynek l. 9.

Gotową pościel

własnego wyrobu jako to:

KOŁDRY

MATERACE

włosienne i z morskiej rośliny

PODUSZKI, SIENNIKI

gotowe prześcieradła, poszewki oraz w świeżym asortymencie

PŁÓTNA, STOŁOWĄ BIELIZNĘ,

pończochy, skarpetki, bieliznę męską, schirtingi,

DYWANY ANGIELSKIE, CHODNIKI, KAPY, KOCYKI NA ŁÓŻKA,

OWCZĄ WEŁNĘ do podszycia paltotów, płaszczów, kołder,

ŁÓŻKA ŻELAZNE

poleca po najumiarkowańszych cenach

MAGAZYN

J. DREXLERA & SYNÓW

Lwów, Nr. 2 Kapitulny plac. (2, 3—

CHEMICZNE LABORATORYUM

aptekarza i chemika

ADOLFA MUSSILA

WE LWOWIE przy ulicy KAROLA LUDWIKA l. 7.

Urządziwszy specyalne i jedyne we Lwowie publiczne Laboratoryum chemiczno-analityczne, przyjmuję prócz rozbiorów sądowych od władz politycznych — także wszelkie prywatne rozbiory chemiczne jak: badania podejrzanych środków spożywczych napojów, wód mineralnych, nafty, ziemi ornej i t. p. przedmiotów.

Wyrabiam zaś i utrzymuję na składzie wszelkie środki **toaletowe** i **perfumerye** jakoteż między innemi:

	zł. ct.
Benzoe do mycia	—.15
Benzol do czyszczenia plam	—.10
Brylantyna	—.50
Glyceryna czysta od	—.10
„ toaletowa	—.40
Flakoniki do perfum	—.
Gąbki toaletowe od	—.35
„ zwykłe do mycia od	—.10
Grysek migdałowy	—. 5
Kadzidło królewskie od	—. 5
Mączka ryżowa czysta	—.
Mentyna do ust	—.40
Miętowa **esencya** do ust	—.40
Myd o glycerynowe od	—.10
„ toaletowe	—.
„ ziołowe	—.
Ocet toaletowy !	—.
„ ziołowy przeciw poceniu się	—.50
Papierki do kadzenia po	—. 2
Patchouli od	—.10
Pasta do zębów	—.35

	zł. ct.
Perfumy w różnych zapachach wyrobu własnego i francuskiego od	—.25
Pierścionki na nagniotki	2 i —.3
Plomba do zębów pudełko	—.40
„ do zębów pojedyncza	—. 5
Pomada chinowa	—.
„ roślinna i kwiatowa	—.
Proszek dalmatyński przeciw owad.	—.20
Balonik do rozpylania w proszku	—.30
Proszek roślinny do zębów	20 i —.35
Puder do twarzy biały, różowy i szam.	.50
„ większe pud. z łabędzikiem	.—
Puszki łabędziowe	—.
Rozpylacze do perfum	od 20 do 2.50
Saszetki do bielizny	25 i —.70
Szczoteczki do zębów do	25 —.40
Woda ateńska do włosów	—.70
„ kolońska	30 i —.50
„ konwaliowa do twarzy	1. —.
„ do ust	—.50
Tróciczki do kadzenia	.—

Wyłączny wyrób: Mydeł dziegciowych Dr. Bergera

przeciw wypryskom skórnym, piegom i plamom na twarzy, sztuka 30 ct.

A. Mussil,

aptekarz, chemik sądowy etc.

NARODNA TORHOWLA

we Lwowie

(w kamienicy Narodnego domu w w lokalu przedtem O. T. Winclera).

z filiami swemi

w Stanisławowie, Przemyślu Tarnopolu, Drohobyczu i Kołomyi

poleca ze swoich bogato i w dobry towar zaopatrzonych składów,

Kawę w woreczkach 5-kilowych franco po 6·70 7·60, 8.50, 9·20, 9·80, 10·40 zł.

Herbatę prawdziwą karawanową sprowadzoną z Chin stałym lądem przez Irkuck, Ural, Niż-Nowogród i Moskwę, w oryginalnych cybykach i rozważoną pod nadzorem zarządu w plombowaniu paczki. ¹/₈ funta 80, 90, 100 ct. i 1·25 zł. ¹/₄ funta za połowę powyższej.

Wina węgierskie w baryłkach 4-litrowych, franco po 3·00, 3·30, 3·79, 4.10, 4·50, 4·90 zł. i wyżej, — w flaszkach węgierskie, austryackie, francuskie.

Miód sycony flaszka 80 ct.

Swiece kościelne ozdobne, z wyciskanym kwiatami, para po 2·30, 4·60, 9·20, 14· — zł.

Karty, Szczotki wszelkiego rodzaju, Masa do zapuszczania podłogi, Papier pióra i inne przybory do pisania, Proszek na owady.

Sól kamienną dla bydła, i inne w zakres sklepu korzennego wchodzące artykuły.

Sudaki (Ryba suszona) 40 — 60 ct. za kilo. (-3?)

J. CIROK

przedtem

E. ZIEGLER

RĘKAWICZNIK i BANDAŻYSTA

(12, 5—?) **we Lwowie, Rynek L. 30**

pod godłem „RYCERZA“

poleca swój skład własnego wyrobu wszelkiego rodzaju

TOWARÓW RĘKAWICZNICZYCH

mianowicie:

wszelkie rodzaje damskich i męskich rękawiczek we wszystkich najnowszych barwach, amerykańskie jelonkowe pantalony, skóry łosiowe i jelonkowe do pokrycia łóżek, poduszki, torby, czapki mundurowe i cywilne, szelki, krawatki, szaliki, bandaże płócienne i elastyczne, pończochy gumielastyczne, oraz rozmaite wyroby skórkowe

☞ **po stałych i umiarkowanych cenach.** ☜

Zamówienia z prowincyi uskuteczniają się odwrotną pocztą.

Magazyny: Rynek l. 30. i ulica Halicka l. 6.

Magazyny: Rynek l. 30. i ulica Halicka l. 6.

CENY NAFTY

w HANDLU (18, 4—?)

R. DITMARA

we Lwowie, plac Marjacki i róg ulicy Sobieskiego.

Nafta **R. Ditmara** (niewątpliwie pewna) litr 840 gr.	. .	33 ct.
„ **salonowa**, nieeksplodująca, zupełnie biała litr	. . .	26 „
„ **gospodarska** „ litr	. . . .	24 „

Przy odbiorze 15 litr. (z wyjąt. nafty R. Ditmara) opust 2 ct. na litrze „ „ całych beczek mając. w sobie 160 litr. opust większy.

Naczynia na naftę, jako to: beczki, kamionki, blaszanki, flaszki, po cenie kosztu.

Wysyłki do wszystkich stacyj kolejowych za gotówkę, lub za zaliczką.

Dyplom honorowy na wystawie krajowej

SPÓŁKA STOLARZY LWOWSKICH

przy placu Bernardyńskim L. 15. we Lwowie,

poleca swój obficie zaopatrzony

SKŁAD MEBLI

oraz wielki wybór **luster, materyi na meble, dywanów, sukna na podlogę, karniszów i kutasów do okien, jakoteż mebli giętych i żelaznych.**

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Jan Nepomucen z Oleksowa Gniewosz.** Z drukarni Anny Wajdowiczowej (pt. Poremby), Rynek l. 9

Pod zarządem Szczęsnego Bednarskiego